Nr. 51. Lwów, Niedziela dnia 18. Sierpnia 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Roczne 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

O Zakładach Obłąkanych.

W dniu 25. lipca r. b. obchodzono w Wiedniu dwudziestopięcioletni jubileusz istnienia Niższo-Austryackiego Zakładu dla obłąkanych, przy której sposobności odbył się zjazd i konferencye psychiatrów w kwestyach odnoszących się do leczenia obłąkanych. Z powodu że Zakład tego rodzaju istnieje u nas w Kulparkowie, a wypadki przed niedawnym czasem w nim zaszłe zwróciły na siebie powszechną uwagę czytającej publiczności, sądzimy że nie od rzeczy będzie uwydatnić pokrótce niektóre dane o stanie dzisiejszej psychiatryi i doli nieszczęśliwych w niedalekiej przeszłości — doli, która niestety w naszym Zakładzie dotychczas istnieje. Posługujemy się w tym względzie sprawozdaniami i artykułami gazet wiedeńskich a szczególniej rozprawą w tej materyi napisaną przez dr. Ranzoni.

Pierwiastkowo, nigdy człowiek nie dążył do badania wszelkich uderzających go zjawisk, kiedy społeczeństwo znajdowało się w stanie dzieciństwa, uważano obłąkanych za istoty nietykalne, nawidzone wpływem bożym. W późniejszych wiekach widzimy obłąkanych już jako opętanych przez czarta, nad którymi opiekę powierzano duchownym, a ci za pomocą silnej wiary i exorzyzmów próbowali uwalniać nieszczęśliwych od takiego nawidzenia. Do niedawnego jeszcze czasu można było się spotkać z twierdczeniem, a zwłaszcza poszkodowanych, — że ludzi dotkniętych pyromanią nie warto poddawać kuracyi, ale uczynić ich raz na zawsze nieszczęśliwymi, albo też usunąć zupełnie od społeczeństwa. Jeszcze przed 25 laty w wielu tego rodzaju zakładach cała kuracya ograniczała się na zamknięciu, osamotnieniu lub dręczeniu chorego, a już co najwyżej na goleniu głowy i polewaniu w różny barbarzyński sposób zimną wodą.

Dla każdego choć trochę obznajomionego z historyą cywilizacyi, nie jest rzeczą nową, że przy wszystkich zboczeniach umysłowych, wielką rolę gra przyrodzony człowiekowi zmysł naśladowania, pod wpływem silnych wrażeń przemieniający się w manię wyższą nad siłę rozsądku.

Były czasy, szczególniej w wiekach średnich, gdzie epidemicznie grasowały pewne obłędy, halucynacye, jak ów szalony taniec porywający miasta całe w wir bezmyślnego kołowania. Pod demonicznym niejako wpływem tego obłędu nie mogły się ostać najstarsze nawet umysły, czego dowodem jest sam Henryk IV Bearnańczykiem zwany, mąż surowy a mądry, który utrzymywał, że w ośm dni po owej nocy św. Bartłomieja słyszał razem z Karolem IX jakieś gwary i huki w powietrzu, niby dalszy ciąg rzezi hugenotów, choć na ulicach spokój panował. Zamęt ten był niejako w powietrzu — strach i przerażenie wówczas było powszechne, a Henryk, ten nieustraszony mąż, który tyle razy zaglądał śmierci w oczy, uległ także temu wpływowi, a nawet ile razy później wspomniał o owej strasznej nocy, uczuwał że mu się włosy na głowie podnosiły.

Mimo widocznie złych rezultatów ciemiężania i dręczenia obłąkanych, jeszcze w r. 1863 można było widzieć w jednem z prowincyonalnych miast Austryi szpital w ten sposób urządzony, że furyatów umieszczano w komórkach położonych po obu stronach jednego kurytarza, w których drzwi zastąpione były żelaznemi kratami tak, że każdy chory ciągle patrzał na swojego sąsiada i musiał słuchać furyi swoich towarzyszy. Kiedy zwidzałem ten zakład, mówi dr. Ranzoni i przechodziłem przez ten okropny korytarz, usłyszałem nagle straszliwy krzyk i wycie tak przerażające, że choć byłem zdrów, zdawało mi się że nerwy we mnie pękają — był to krzyk jednego z pacyentów, któremu właśnie środki kuracyjne zaaplikowano.

Jeżeli w powyższy sposób obchodzono się tak niedawno jeszcze z obłąkanymi (a i u nas podobno takiego rodzaju celki istnieją w Kulparkowie), to trudno się dziwić, jeżeli cesarz Józef II z okazyi ufundowania nowej turmy dla obłąkanych wydał na dniu 10. Kwietnia 1784 r. rozporządzenie, aby na najwyższem piętrze tejże umieszczano po dwóch chorych w jednej izbie, a każdego z nich do ściany przykuto. W tych to czasach nie używano innych leków jak łańcuchy, głodzenie, plagi i polewanie zimną wodą w różnej formie, słowem stosowano środki, które raczej jako tortury dla zbrodniarzy, aniżeli przynoszące ulgę choremu uważać należało.

W roku 1796 dzięki zabiegom sławnego doktora Franka, otoczono szpital ogrodem i pozwalano spokojniejszym pacyentom używać przechadzki. W roku 1826 poruszono myśl wystawienia zakładu z uwzględnieniem poczynionych wówczas wynalazków na polu nauki, ale mimo nalegań rozlicznych lekarzy, sprawa ta wlokła się do r. 1848. Tym razem energicznie wzięto się do dzieła i pod kierownictwem budowniczego Jellnera w r. 1853 oddano zakład do użytku publicznego, którego koszt wraz z całem urządzeniem wynosił przeszło dwa miliony guldenów. Dziś instytut ten wznoszący się na pochyłości lekkiego pagórka, otoczony wspaniałym parkiem z fontannami i statuami, owiany czystem, świeżem powietrzem, wygląda raczej na wygodny i piękny pałac i niczem nie przypomina pacyentom, że jest schronieniem chorych na umyśle.

W zakładzie, którego jubileusz obchodzono, dopiero dr. Spurzheim zdołał zaprowadzić stanowczą i radykalną reformę. Za niego zerwano z tradycyami średnio-wiecznemi, zaniechano środków przymusowych i zaprowadzono nowy system leczenia i traktowania nieszczęśliwych pacyentów. W ostatnich czasach dla zaprowadzenia większej wygody chorych, wzniesiono kilka bocznych budynków, w których właśnie na obecną uroczystość urządzono wystawę przedmiotów mających związek z psychiatrią.

Od roku 1870 zaprowadzono przy wiedeńskim zakładzie klinikę chorób umysłowych, którą od r. 1875 kieruje światły profesor Leidesdorfer. Obecnie zakładem w Klosterneuburgu zarządza dr. Schlager, a wystawa przez niego nagromadzona daje dowód, że niczego tu niezaniedbano, co tylko przyczynić się może do ulżenia losu nieszczęśliwym mieszkańcom domu obłąkanych. Postanowiono i bardzo logicznie, uważać chorych umysłowo jako dzieci, którym z całą względnością

i dobrocią należy nieść pomoc nauczaniem i radą, że należy czuwać nad nimi z całą troskliwością matki, a za wybryki i wykroczenia nie karać surowiej niż dzieci. Otóż w ten sposób postępując z całem zamiłowaniem i cierpliwością, osiąga się przy kuracyi zadziwiające rezultaty, a systematowi temu ludzkość powinna wiele mieć do zawdzięczenia, jeżeli tym nieszczęśliwym istotom nie da się poczuć ich przykrego, a tyle niezasłużonego położenia. Dziś przedewszystkiem lekarz stara się o przyczyny i źródła choroby, aby dopiero znając takowe, mógł skutecznie przystąpić do zbadania samej choroby. Obok zabawy, a nawet tańcujących wieczorów, malarstwo, rysunki i inne nauki są w tym zakładzie rozpowszechnione; jednem słowem punkt ciężkości kuracyi skierowany na rozbudzanie interesu do życia, oraz na potęgowanie i utrwalanie samowiedzy i poczucia siebie. Oglądając na wystawie dział sztuki bardzo obficie reprezentowany w pracach pacyentów, mimowoli przychodzą na myśl dwa sławne zdania, pierwsze: „że właściwe zdrowie umysłu zasadza się na dokładnej refleksyi“ i drugie: „że tylko władza tworzenia nowych kombinacyj z otrzymanych wrażeń, pozwala wyrokować niewątpliwie o zdrowiu umysłu.“ Które z tych zdań i o ile jest trafnem, nie da się w krótkości powiedzieć — jest to tematem do rozległych studyów i badań, my tyko objaśnić możemy, że prace materyalnie chorych, jakie na wystawie oglądano,są wyborne, gdy chodzi o naśladownictwo; w kompozycyi za to, gdzie trzeba szukać własnego pomysłu, produktu myslenia — tam widać bardzo rażący niedostatek.

Prócz wystawy prac chorych, trzebaby wspomnieć o wielu bardzo ciekawych apparatach, których celem pośrednim lub bezpośrednim jest przyniesienie pomocy albo ulgi chorym. Są one dość skomplikowanej budowy, abyśmy szczegółowo czytelnikom opisywać je mieli, wymienimy tylko tak zwany psychodometr, służący do zbadania szybkości w odbieraniu wrażeń i pojmowaniu. Bardzo ciekawe są preparata mózgowe patologiczne i anatomiczne profesora Dr. Heschla oraz podobizny rznięte Dr. A. Hollera. Ze zbioru tego widać, że pomiędzy zwierzętami najpiękniejszy mózg ma delfin i niedźwiedź, i że morderey Francesconi i Hakler, mieli mózgi tak normalnie zbudowane, że co do ich formy mogły służyć takim głowom jak Goethego i Humbolda. Słowem, jubileusz i wystawa i cały Zakład zrobiły bardzo dodatnie na zwiedzających wrażenie nasuwając pocieszającą myśl, że ludzkość znaczy dziś każdy dzień nowym wynalazkiem lub nowym krokiem na drodze postępu...

A my w obec tego jak stoimy? Wydaliśmy co prawda blisko milion guldenów na nasz Zakład kulparkowski, i czas byłoby aby kraj nareszcie widział co ma za te pieniądze. Nie liczymy się do grona tych, którzy z kilku nieszczęśliwych wypadków, o jakie w każdym zakładzie nie trudno, chcieli już wyrokować i rzucać kamieniem potępienia na młody jeszcze Zakład, powstający o własnych siłach i własnem doświadczeniu — jednak dobrzeby było, aby podczas zebrać się mającego Sejmu, pokazono i komissyi sejmowej i publiczności tego rodzaju wystawę, jaka miała miejsce 25. lipca r. b. w Wiedniu.— Tyle już nagadano się i napisano o tym Kulparkowie od samego położenia węgielnego kamienia na budowę jego, że doprawdy powinienby Sejm gruntownie zbadać tę sprawę — usunąć przeszkody (jeżeli je znajdzie) dalszy rozwój tamujące — a ostatecznie nie żałować wydatków na przyprowadzenie Zakładu na stopę odpowiednią dzisiejszym wymaganiom nauki i potrzeby. O ile wiemy, sprawy kulparkowskie, jak dotąd, traktowane były w Sejmie zanadto pobieżnie i więcej niż z możliwą oszczędnością, dlatego i statut tej instytucyi oddający w ręce jednego dyrektora lekarza, cały zarząd administracyjny i leczniczy Zakładu — wymaga koniecznej zmiany. Tam gdzie znajduje pomieszkanie blisko 500 chorych, a cały personal służby przeszło sto osób wynosi, nie może jeden człowiek, choćby on był najlepszym lekarzem i administratorem, nawet fikcyjnie odpowiedzialnym (co podobno bardzo trudno znaleść w jednej osobie), podołać takim obowiązkom. Wprowadzenie znów takiego czynnika do zarządu, jakiemi są Siostry miłosierdzia, na warunkach czyniących niejaki wyłom w attrybucyach dyrektora — tylko paraliżuje cały apparat zarządu i sprowadzać musi aczkolwiek drobne, jednak niepożądane kolizye. Pomoc sióstr miłosierdzia w Zakładzie obłąkanych jest wielce użyteczną, a nawet powiedzielibyśmy konieczną. Obejście ich z chorymi jako nad wyraz łagodne, właśnie przy dzisiejszych tendencyach leczenia obłąkanych najodpowiedniejsze; — zarząd spiżarniany oszczędny i sumienny, — zatem nic nie przeszkadza, aby ich udział w sprawach Zakładu był równorzędny z udziałem dyrektora leczniczego i Rządcy administracyjnego. Tryumwirat taki pod nadzorem Wydziału krajowego, a nie sam dyrektor, jak dotąd ma miejsce, stanowić powinien Radę Zakładu, w której i praca i kontrola wzajemna i odpowiedzialność znalazłyby daleko skuteczniejsze rękojmie w porządnym biegu spraw zakładowych, gdy te spoczywać będą na trzech barkach kolegialnie rządzących.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Adolf widząc że nikogo nie namówi, poszedł sam do bufetu; miał dosyć czasu nasycić się gambrinusowym nektarem, bo pociąg spóźniwszy się nieco, musiał zaczekać na tej stacyi na przybycie pociągu z przeciwnej strony, z którym powinien się był minąć na następnej stacyi. Czekanie trwać miało przynajmniej piętnaście minut. Julia niecierpliwiła się z tego powodu.

Adolf tymczasem w bufecie zrobił na poczekaniu znajomość z jakimś Węgrem. Był to mężczyzna młody, okazałej dosyć powierzchowności i ubrany pretensyonalnie. Jego aksamitna marynarka, wysokie buty lakierowane, pincez-nez, złoty łańcuszek poobwieszany jakiemiś monetami i błyszczącemi kamykami, zdradzały w nim człowieka nie tyle może zamożnego ile lubiącego się popisywać ze swoją zamożnością i elegancyą. Wyglądał na paradyera w guście Adolfa, tylko w gorszym nieco wydaniu i przetłomaczony na węgierski manier. To podobieństwo zbliżyło ich do siebie. Węgier zaraz pochwalił się, że ma znaczne dobra koło Trenczyna, że wraca z Brodów, gdzie porobił zakupna dywanów i futer dla swojej krewnej, która wychodzi za mąż za jakiegoś kuzyna Palczajow. Adolf znowu nie omieszkał przedstawić mu się jako zastępca dyrektora banku, w którym, jak wiemy, zajmował dość podrzędne stanowisko, a chcąc mu dać poznać swoją ważność, napomknął, że jedzie w interesach banku zakupować lasy w Galicyi. Węgier oświadczył mu, że może i on zdecydowałby się odprzedać jakąś część swoich lasów i prosił go o adres banku. Adolf wręczył mu swój własny bilet opatrzony hrabiowską koroną, dodając, że zapewne kilka tygodni zabawi w kąpielach, do których właśnie jedzie i prosił, aby mu tam przysłał wiadomość o swojem postanowieniu.

Wśród tej rozmowy wyszli na peron i przechadzali się paląc papierosy. Julia z okna wagonu z ciekawością przypatrywała się Węgrowi i zapewne w chęci zwrócenia na siebie jego uwagi, zaczepiła przechodzącego Adolfa pytaniem: jak długo pociąg stać będzie jeszcze. W czasie kiedy Adolf zbliżył się do wagonu, aby jej odpowiedzieć, Węgier poszedł kilka kroków dalej, potem zatrzymał się i czekając na swego towarzysza rzucił w okna wagonu przenikliwe spojrzenie. Adolf niebawem złączył się z nim i nieomieszkał zaraz pochwalić się, że ta panna, z którą rozmawiał, jest córką bankiera Nadermana, a zarazem jego narzeczoną. Jedynie próżność skłoniła go do tej niedyskrecyi, a nawet do kłamstwa. Chwalił się jak mógł i czem mógł, aby podnieść wartość swojej osoby w oczach Węgra, chciał mu ten zaimponować. Węgier dosyć obojętnie przyjął to wyjaśnienie, kiwnął poważnie głową i milczał. Adolf chciał jeszcze pochwalić się przed nim ze swemi znajomościami w wielkim świecie wiedeńskim, gdy świst nadchodzącej lokomotywy i głos dzwonka na stacyi zmusił go pożegnać Węgra i wrócić do wagonu. Pociąg niebawem ruszył z miejsca.

— Kto to był ten pan, z którym pan rozmawiałeś? — zapytała go Julia.

— To jakiś magnat węgierski — odrzekł Adolf niby obojętnie, a jednak w tonie głosu przebijało się zadowolenie z tej znajomości.

— Pan go znałeś dawniej?

— Nie, teraz dopiero zrobiliśmy znajomość. Zdaje się, że będę mógł z nim zrobić korzystny interes dla naszego banku. Chce mi sprzedać część lasów.

— Więc ma i lasy?

— O, bardzo zamożny człowiek.

— A wygląda więcej na człowieka co wyszedł z lasu, niż na takiego, co ma lasy. Nie uważałeś pan, jakie on ma okropne spojrzenie?

— A mnie się zdaje, że on więcej na żyda wygląda — odezwał się Leon.

— Ależ mój Leonie, ty każdemu musisz łatkę przypiąć — odezwał się zgorszony Adolf stając w obronie swojej świeżej znajomości.

— Możemy się przekonać na następnej stacyi. Jeżeli wam idzie o to, gotów jestem sam zapytać się go o to. Wszak jedzie tym samym pociągiem, tak?

Pytanie jego zostało bez odpowiedzi, bo Julia nagle sobie przypomniała teraz, że Adolf powinien był wysiąść na tej stacyi, którą minęli. Zaczęła się więc znowu dąsać i gniewać, i wśród tego zapomniano całkiem o Węgrze. W miarę im bardziej zbliżali się do następnej stacyi Julia coraz bardziej nalegała, aby Adolf opuścił ich wagon: posunęła się natarczywie

aż do niegrzeczności i zagroziła mu, że więcej go znać nie chce, jeżeli nie uczyni zadość jej żądaniu. Adolf zdecydował się wreszcie zadowolnić ten kaprys i skoro pociąg stanął na stacyi, wziął w rękę swój kuferek i począł się żegnać. Nie miał jednak wcale smutnej miny, owszem na twarzy jego błąkał się ironiczny, tryumfujący uśmiech. Był pewny że Julia sama go zatrzyma, ale ta nadzieja go zawiodła. Julia uczuła się swobodniejszą, gdy konduktor po jego wyjściu zamknął drzwiczki. Wychyliła się z okna i z uśmiechem żegnała stojącego na peronie. I teraz jeszcze nie stracił on fantazyi; pocieszał się bowiem sam, że Julia dla wypróbowania jego miłości skazała go na to chwilowe wygnanie, aby mu to potem wynagrodzić. Jeszcze więcej upewniło go w tem mniemaniu, gdy Julia kiwając mu głową na pożegnanie, rzekła:

— Ale pan przyjedziesz do wód, do nas?

— Jakto? pozwalasz pani? — pytał niby drożąc się.

— A to pan sobie wyborny jesteś. A z kimżebym ja walca tańczyła? Pan wiesz że mnie z nikim tak dobrze się nie walcuje, jak z panem.

— Skoro pani tego sobie życzysz...

— Tylko nie daj pan długo czekać na siebie — No, do widzenia.

Skinęła mu jeszcze raz głową dodając zalotne spojrzenie i usiadła, bo właśnie pociąg ruszył z miejsca.

Czas jakiś siedziała milcząca, zatopiona w myślach, nie wiadomo czy o walcu, czy o Adolfie, czy też może o czem innem. Po jakimś czasie jakby sobie coś przypomniała poruszyła się żywo i zapytała Leona:

— Czy pisałeś Janowi że my dziś przyjeżdżamy?

— Pisałem. — odrzekł tenże sucho.

— To się dziwię, że nie wyjechał przynajmniej o parę stacyi przed nas.

— Może i lepiej się stało. Byłoby im tu za ciasno razem z Adolfem... — rzekł ze złośliwym uśmiechem.

Julia spojrzała na niego z miną obrażonej.

— Szkaradny jesteś kuzynku.

— Wiem o tem od urodzenia. Tobie nikt czegoś podobnego zarzucić nie może.

Zdaje się, że nie zrozumiała tej alluzyi, bo najspokojniej oparła się o ramy okna i obserwowała krajobraz.

Po chwili zapytała go znowu:

— Czy daleko do tej stacyi?

— Wiem tyle, co ty. Nigdy nie byłem w tych stronach.

— Nieznośnie długa stacya.

Leon nic nie odpowiedział, tylko rzucił na mówiącą ukradkiem jakieś dziwne spojrzenie. Jakieś uczucie przemknęło niby błyskawica w tem spojrzeniu, ale trudno było odgadnąć, czy było szyderstwo, czy oburzenie, czy może jakieś inne serdeczniejsze uczucie.

— A prawda, nie mówiłeś mi, co ci odpisał na twój list. Czy bardzo się cieszy z naszego przybycia?

— Nie wiem, bo nie dostałem żadnej odpowiedzi.

— Żadnej odpowiedzi? To jego może nie ma tutaj, bo inaczej byłby z pewnością odpisał.

— Bardzo być może.

— A to byłaby ładna historya.

— To prawda, nie będzie miał kto wyszukać noclegu, nająć powozu.

— Nie tylko, ale... — zatrzymała się chwilkę i była w kłopocie co powiedzieć, gdy wtem rozległ się gwizd lokomotywy na znak, że pociąg zbliża się do stacyi. Julia wychyliła się mocno z wagonu, tak mocno, że aż matka przestraszona wstała, aby ją przytrzymać i radziła jej odsunąć się od okna, bo często zdarzają się wypadki... Julia nie słyszała wcale matki mając oczy i uwagę zwróconą ku stacyi. Nagle zwróciła się do środka wagonu.

— Jest, jest — zawołała z tryumfem i radością — i znowu wróciła do okna. Chciała pierwsza powitać Jana. Była ciekawą co powie, gdy ją zobaczy, jakie wrażenie zrobi na nim ich przyjazd.

Ale Jan był dziwnie chłodny i sztywny. Powitał się ze wszystkimi jednako uprzejmie i krótko; zaprowadził ich do powozu czekającego przed dworcem i poprosił bankiera o kartę od rzeczy, chciał bowiem sam zająć się ekspedycyą pakunków. Julia patrzała na niego zdziwiona, nie mogła wierzyć oczom swoim, że to ten sam Jan, którego znała w Wiedniu. Tam on zawsze wpatrywał się w nią jak w obraz, nie spuszczał jej prawie z oczów, gdzie się ruszyła, wszędzie spojrzenie jego jak cień szło za nią. A tutaj teraz ani spojrzał się na nią, nie przemówił ani jednego słowa. Julia tak była nieprzygotowana na coś podobnego, że była tem jego postępowaniem oburzona, byłaby się rozpłakała, gdyby ją wstyd nie było w obec Leona, który jej się ze złośliwym przypatrywał uśmiechem.

Jan umieściwszy ich w powozie wrócił coprędzej do dworca po rzeczy. Kiedy się zbliżał do miejsca, gdzie je wydawano, ujrzał jakiegoś Węgra w aksamitnej marynarce, który właśnie odbierał od urzędnika duży kufer. Kufer musiał być ciężki, bo go dwóch ludzi z trudnością dźwigało. Jan usunął się na bok aby im zrobić miejsce do wyjścia. Przypadkiem rzucił wtedy okiem na Węgra i zdawało mu się że tę twarz gdzieś, kiedyś widział. Ale nie miał czasu zastanawiać się teraz nad tem, bo mu się spieszyło wydobyć co prędzej rzeczy Nadermanów, by nie czekali długo na niego. Kiedy się załatwił z odbiorem i wyszedł przed dworzec, Węgier ów właśnie odjeżdżał ku miastu. Jan teraz dopiero zauważył, że bardzo przypominał owego żyda, od którego napaści obronił był raz Amelię i którego potem widział w owej karczmie za miastem; tylko że tamten był rudy, a ten brunet. Zdawało mu się także, że Węgier ujrzawszy go, zmięszał się i odwrócił się w odwrotną stronę.

(C. d. n.)

EMILIO CASTELAR.

(Ciąg dalszy.)

Niemniej jednak jest prawdą, że nie istnieje może nigdzie na ziemi pomnik, któryby wymowniejszym był obrazem nicości, jak ten cmentarny równoległobok pizański — bezkształtnie nieregularny, jak owa wieczyście sama z sobą sprzeczna śmierć. Wszakże wszyscy śmiertelnicy pod stopami naszemi mamy ciemną niby otchłań jakąś, która pochłania nieustannie chwile naszego życia, jak pustynia kropelki dżdżu. Na cmentarzu mieszkamy wszyscy. Ta nieubrana niczem na zewnątrz nagość tej budowy *Campo Santo*, ta monotonia i ta jednostajność — to nagość, monotonia, jednostajność śmierci. Gdy się wrota otworzą, wydaje ci się, że to wrota wieczności. Jak gdybyś martwiał od chłodu tych sklepów, jakbyś głos tracił i mowę w grobowej tej ciszy. Sam jeden byłem, jak umarły, gdy go w grobowcu samego zostawią.

Wygnaniec na ówczas, pozbawiony ojczyzny i domowego ogniska, pytałem w duchu, czy ta podróż moja do Pizy nie jest ostatecznej życia mego wędrówki symbolicznym wyrazem, czy to wejście moje samotne na cmentarz nie jest może wieszczą podobizną bliskiego dnia, w którym poniosą mnie ludzie i rzucą do fosy, aby zgniłe trupa wyziewy nie zatruwały im czystego powietrza. We drzwiach stojący grabarz wzywał abym wszedł. Najsmutniejsze z myśli smutnych tętniły mi w pulsach pod skronią i ściekały na serce jakby gryzącego rozczynu kroplami. Głuche uderzenia motyki, którą świeże gdzieś groby kopano, i dźwięk kluczów w ręku grobarza w ponure spływały się z sobą odgłosy. Ale już przekroczyłem próg śmierci z tą myślą, że ona równie naturalną jest jak życie, a grób, że jest wiecznością kolebką. I oto wielkie te wrota zamknęły się już za mną.

Jeżli jest prawdą w co wierzę i ufam, jeżli umierając przenosimy się z tego świata w świat lepszy, trudno aby ta gwałtowna zmiana tyle mi niespodzianej przyniosła nowości jak wnętrze pizańskiego cmentarza. Zachwycony podziwiałem te sklepienia kosztownem wykładane drzewem, te długie mury misterną grą swej barwy piętrzące się w górę, te okna ostrołukowe, olbrzymio wysokie, z leciuchnemi kolumnami i wytworną uwieńczone rozetą; cyprysy i róże i bluszcz i kapryfolium z ostrołuków wychylające się pełnemi szeptów uroczych i pełnemi życia gałązkami, rozkołysanemi lekkiem drżeniem powietrza; — grubo kowane grobowce mniszych czasów a obok nich inne z klasycznej epoki, rzeźbione pięknie, ozdobne w nimfy i fauny; — tu bachiczna czara w marmurze z Paros wykuta, gdzie błyszczą kapłani słodkim sokiem jagód winnych pijani; a tuż obok Matka bolesna, syna swego trzymająca w ramionach, pijana łzami własnemi, agonią płaczu i rozpamiętywania o śmierci; — razem trofea krzyżowców i wrota Rzymian; fryzy greckich świątyń pomięszane z architrawami ołtarzy Xgo wieku; popiersia Brutusa i rzymskich trybunów pod osłoną białych skrzydeł z marmuru chrześciańskim rzeźbionych dłutem; — posągi leżących postaci, jakby się na kamiennych płytach do snu układały wiecznego; — tuż inne stojące niezachwianie na ludzkich kości piedestalu, idei jakiejś uwieńczone blaskiem, zdające się wznosić wciąż wyżej w górę, ku nieśmiertelności; — dziewice, święci, patryarchowie, doktorowie, serafiny, cherubiny, chóry błogosławionych, czarty, gnomy, dziwa pływające w tej różnobarwnej atmosferze gigantycznych fresków, któremi jak kobiercem wszystkie mury wyścielone; — chaos nierozgmatwany w tych czterech krużgankach gotyckich, chaos, po którym przemykał w tej chwili dzwonu dźwięk, podobny do głosu trąby anielskiej, i głuche stukanie grobarskiej motyki — niby odpowiedź zmarłych, wydobywających się z trumien na to wołanie anioła; chaos, w którym wszystkie wieki, wszelkie cywilizacye mięszają się z sobą

w nieładzie na okruchach zburzonego świata: Jozafatowej doliny obraz w godzinie sądu ostatecznego.

A przecież, gdy z pierwszego ochłoniesz wrażenia, niepodobna do tego chaosu regularniejszego obmyśleć planu. Cztery ściany, cztery krużganki, cztery rzędy ostrołukowych okien; dziedziniec w środku, naprzeciw głównego wchodu kaplica a w połowie małego krużganku po prawej, kościół. Dziedziniec cały najbujniejszą pokryty roślinnością: pełno liścia i kwiatu; po rogach cztery duże cyprysy, gąszczem ciemnej zieleni swych gałęzi zdają się wzbijać ku stropom niebieskim, by tam nieść dziękczynne modły młodszego rodzeństwa za ten pokarm obfity, którym je raczą umarli.

Mało jest, bardzo mało gotyckich budowli we Włoszech. Ta architektura wieków średnich nie mogła pokonać wieczystego pogaństwa w tej obiecanej ziemi sztuk pięknych. Rzekłbyś, że ilekroć tam architekci zamierzyli katolickie sklepić ostrołuki, w jedyny kończasty tak zdążające wierzchołek jak wszechświaty w bóstwa kończą się jedności: z głębi strumieni i z za drzew kory dolatywały ich wtedy dawnych boginek westchnienia i zniewalały wieńczyć kolumn tych czoła tak, jako zwieńczone bogiń nieśmiertelne skronie. Architekturę gotycką nazwaćby można architekturą myśli a nie wyobraźni; możnaby powiedzieć, że ona raczej jest głębin ducha niż plastycznego poczucia wyrazem. Rzecz tedy jasna, że nie może być architekturą włoską. Cmentarzysko pizańskie jest gotykiem, ale jak też tam się zbratały w jego wnętrzu wszelkie sztuki kierunki! Nic w tem Włosi nie widzieli rażącego aby grobowiec wyobrażał mity pogańskie, które chrześcianizm potępia. Byle pięknym był, a stawiali go radzi na swoim cmentarzu, chrześciańskie składając weń kości. Hrabina Matylda, kobieta niezrównanej w katolickiej wierze gorliwości, przyjaciółka papieży, heroina prawowierna, spoczywa tu w sarkofagu, na którym rzeźba Fedrę przedstawia. Na innym marmurze cmentarza znajdziemy Dianę składającą pocałunek na czole uspionego Endymiona. Popiersia pogańskie tam prawie dotykają obrazów świętych chrześciańskich. Lampy, które pobożność zapala, oświecają Brutusa oblicze. Obok sarkofagu, na którym średniowieczny rycerz składa ręce do modlitwy i zgina kolana, tuż obok stoi August Agrippa, fundator owego Panteonu, gdzie po raz ostatni dawne schroniły się bogi. Bachantka usypia pijana, przy niej wychylona czara; powyżej fresk przedstawiający biczującego się mnicha; obok grobowiec, z którego zwiesza się wieniec róż białych — niewinności godło a stróż-anioł skrzydła rozszerza jakby niemi gniazdko chciał zakryć.

Wśród katakomb męczenników, na grobowcu zroszonym łzami pierwszych chrześcian, rzeźba przedstawia dobrego pasterza, prowadzącego owieczki swoje do owczarni pańskiej; kilka kroków dalej obaczysz w płaskorzeźbie owe trytony z Neptunowego orszaku, które z głębin wypływały oceanu zanim naturze nie wydarto jej bogów. Meleager na łowach znajduje się w pobliżu ołtarza, na którym widzimy Henryka VIIgo pogrążonego w modlitwie. Na jednym z kapiteli, Marya, mistycznego pełna uroku, a u nóg jej prawie, etruskie figury, pełne realizmu życia. Rzeźbiarza Della Robia madonna z terrakotty, do bizantyńskich podobna; a tuż obok, na kolumnie z egipskiego ciosu wystaje głowa Achilla. Tu ewangeliści i prorocy dłuta Andrzeja z Pizy, pełni surowej powagi katolickiego stylu, a tu do koła na innych płaskorzeźbach bachanalie całą tchnące Greków rozkoszną swobodą. Tu spostrzegamy cesarza niemieckiego na tronie; tu hippogryf arabski; dalej nieco Wenus jako symbol miłości w śmierci dziedzinie. Oh! ci ludzie to czuli, cudem artystycznej pouczeni intuicyi, że pokolenia wszystkie i wszystkie wieki na łonie śmierci jednoczą się i godzą. Czuli to, że bojownicy nieprzyjaźnych sobie sztandarów na polu walki w dzień słoneczny giną, wzajemną dysząc nienawiścią i zionąc przekleństwem — ale tam, w gwiazd krainie podają sobie dłoń. Oni to czuli, że mają moc ziemianie wypierać się nawzajem z życia krainy, ale nie z krain śmierci. I cóż ztąd, że wroga w proch zetrzesz, na wolę wiatrów wytlałe jego rozrzucisz popioły: w wielkiej wszechżycia wyrobni, w przyrody niezmiernem łonie ani jeden jego atom nie przepadnie; jutro już może synowie twoi wcielą je w siebie i w sercu nosić je będą. Lecz tak zaciekłe są nienawiści ludzkie, że nawet w śmierci niechcą pojednania. A jednak na tym cmentarzu pizańskim, wobec tych zmarłych tylu pokoleń, pomników z tylu stuleci, budziło się w mej duszy poczucie tej prawdy: że tak jak ciało nasze zawiera w swym składzie wszelkich istot cząsteczki a umysł wszystkich pokoleń ideje, tak też i w życiu naszem wszystkie żyją wieki; — czułem bardziej niż kiedykolwiek, jak niedorzecznym i jak nie ludzkim jest ów rozbrat z powodu wyznań i wiary: wszakże duch ludzki, wszechstuleci dziecię, wszechludzkości jednostka, zanim doszedł do pełni dzisiejszego rozwoju, przez wszelkich przesądów przejść musiał bożnice, celtyckie dolmeny i larów ołtarze, piramidy egipskie i babilońskie sfinksy — na podobieństwo szerokich rzek, które przedzierać się muszą przez łożyska lodu, kamieni i błota, zanim ujście w ocean zdobędą.

Cmentarz ten, to prawdziwy narodu grobowiec, prawdziwy Pantheon średnich wieków. Naonczas śmierć zajmowała ludzi więcej niż życie. *Campo Santo* był dla nich ojczyzną wiekuistą; — piekło i czyściec — epopeją; jubileusz wielkiem ludów przymierzem a wyprawa krzyżowa wojną świętą. Punktem ciężkości wszelkiego ruchu i życia wieków średnich był grobowiec. Najznakomitsi i najzamożniejsi Pizy obywatele budują okręt, rozpinają żagle i płyną do Carogrodu i do Syryi, aby dotrzeć wreszcie po niezliczonych trudach do Jerozolimy; upadając pod ciężarem olbrzymiego rynsztunku, z krzyżem na piersiach tysiączne staczają potyczki, tysiące razy pełne groźnych niebezpieczeństw przebywają wyprawy, aby odnaleść wśród majaczących widziadeł pustyni, pod sklepieniem niebios jak płomień gorącem, na zwęglonych od skwaru słonecznego pagórkach grób Chrystusowy, aby odszukać grób, grób owiany falami wichru palącego jak przeciągi pożarne, i aby umrzeć w pobliżu tego grobu, na tej ziemi poświęconej łzami oliwnego ogrojca i krwią Golgoty. Lecz i pozostali we Włoszech obywatele pragnęli zapewnić sobie tę korzyść, usnąć snem wiecznym w obiecanej ziemi, zmięszać prochy swoje z prochami proroków. Równość republikańska nie cierpiałaby przywileju — nawet w śmierci. Rozległy handel Pizy dozwolił spełnić gorące mieszkańców życzenie. Przypływały tedy floty do portu z ładunkiem jerozolimskiej ziemi. I do dziś dnia jeszcze w tej to ziemi grzebią Pizańczycy kości swoje. Żarłoczną wielce była ona niegdyś: w ciągu jednej doby trawiła powierzone jej szczątki, jakby ogniem była a nie ziemią. Sole, które cudu tego były przyczyną, ulotniły się już po większej części z biegiem upłynionych wieków; niemniej jednakże i dziś, wedle twierdzenia uczonego p. Valery, ziemia ta pożera trupa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Z podziwem spoglądałem na nią. Aksamitny płaszcz zieleni ją pokrywa, niby deszczem róż skropiony. Gęste krzaki ostrężyny rozciągają wszędzie kolczate gałązki — a roje białych motylków wydawały mi się duszyczkami dzieciątek, kąpiącemi się w tej woni i pojącemi się rozkosznie słodkim nektarem krzewów, zwieszających festony nad grobami, aby uwieńczyć mieszkanie umarłych girlandami kwiecia, niby życia ozdobą. O ziemio, ziemio święta jerozolimska pod stopami memi! tyś na świat wydała myśl bożą, przez tyle wieków kryjąc ją wprzódy w tem łonie, by wiek nowożytny w jej cieniu odpoczął; tyś w wnętrzu twem kości zebrała proroków, tych, którzy pochodnię wiary w ludzkich zażegli sumieniach; z twej to gliny zlepiona była kolebka cywilizacyi naszej; a boski męczennik, który na twych górach oddał się w ofierze, by świat wybawić z niewoli i ohydnego przeznaczeń jarzma, on cię płodną uczynił i świętą jak plenne męczeństwa nasienie! Ziemio jerozolimska, ktokolwiek pod stopą cię czuje, filozof czy chrześcianin, żyd czy katolik, przeszłości czy przyszłości człowiek, wzruszonym być winien głęboko, boś ty, o ziemio nieśmiertelna, w niemałej weszła cząstce w zaczyn naszego żywota.

Ale pożegnawszy dziedziniec, zwróćmy się znowu ku krużgankom, aby teraz obejrzeć już nie groby lecz malowidła. Włosi są na wskróś artystami, całą istotą ducha: nie pojmują oni aby którakolwiek ze sztuk pięknych żyć mogła samodzielnie i w odosobnieniu od swych siostrzyc. Budowle przyozdabiają oni rzeźbą i malowaniem; napełniają je poezyą i napisami — aby były myślące, muzyką aby im spiewały. Cmentarz pizański zbudowano w wieku XIItym, nie zapominajmy o tem. Aby zrozumieć co on nam mówi, jego epokę zrozumieć trzeba, architektura bowiem nie wyzbywa się nigdy symbolicznego swego charakteru a najmniej pomniki jej religijne. Początek wieku XIIgo jest wiekiem katolicyzmu, koniec jego wiekiem odszczepieństwa. W jego zaraniu duch ludzki goreje wiary płomieniem, przy schyłku oddaje się rozumowi. Rozpoczyna stulecie Innocenty III., spoglądający z góry na korzące się u nóg jego sumienie człowiecze, na klęczącą u jego ołtarzy Europę, a kończy je Benedykt VIII., policzkiem rąk świeckich znieważony, umierający z wściekłości w poczuciu bezsilności własnej. W Kastylii otwiera to stulecie Ferdynand IIIci, który zasłużył na to, iż go między świętych zaliczono, zamyka je Alfons Xty, który zasłużył aby go zaliczono między filozofów. Piotr IIgi Aragoński rodzi się na łonie kościoła, w jego wzrasta opiece, żyje aby stoczyć bitwę z niewiernymi pod *Navas da Talosa*, a umiera w bitwie pod Muretem, walcząc w sprawie heretyków. Gwałtowne takie zmiany, to powszechne owego stulecia prawo. Jakób Iszy Aragoński, *Conquistador*, szmat ziemi za szmatem zdobywa dla kościoła, a Piotr IIgi wydziera papieżowi lennictwa. Owi święci krzyżowych wypraw kierownicy i własne ich wojska cuda czyniły pod murami Gerony przeciw papiezkim żołnierzom. Wstrzymane boje o mękę pańską. Nad świętą teologią górę bierze umiejętność arabska. Powątpiewanie wkrada się do rozumów, ironia do pi-

śmiennictwa a poczuciem natury przejmuje się sztuka. Świadomość ludzka z okresu wiary w okres przeszła rozumu. (Dok. nast.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO
z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Inaczej znalazł się pułk 4ty i każdy inny ze starych tę grę byłby wytrzymał, bo u naszego żołnierza w służbie i boju cała dusza była w uchu, w najgoretszym razie trzymał on słuch wytężony i nader czuły na komendę i tę bezwzględnie wykonywał, to też gdy bój był morderczy, gdy w kolumnie wielu ludzi padało, gdy żołnierz zaczął się niepokoić, dość było nieznaczącej komendy jak „w ramię broń,“ „spuść broń“ i znów „na ramię“ „pół obrotu w prawo lub w lewo“ i znów „na front“ itp. by porządek był nienadwerężonym.

Kirysyery a właściwie jenerał i pułkownik prowadzący ich, widząc czwartaków trzymających do nogi broń, w pędzie, jak to powiadają, nieco się zacukali, wiedzieli, że pułk ten Wielki książę wyszczególniał faworami swymi; że pułkownik Bogusławski to ulubieniec Wielkiego księcia, podejrzywali więc ich o skłonność do złożenia broni, lecz z tego miłego złudzenia 4ty pułk prędko ich wyprowadził, bo na komendę „rotami od prawego ognia“ z opuszczeniem poprzedzającej komendy: „batalion na ramię broń, tuj, cel, pal,“ żołnierze od nogi podnieśli broń do twarzy i silnym porządnym przyjęli ich rotowym ogniem; a że przeciskali się luką między dwoma batalionami, więc razili ogniem krzyżowym; że zas ogień szedł rotowy, a kolumna kirasyerów długa, wytrzymać musieli przeciągły ogień nierównie dłużej trwający, jak gdy kawalerya front karé atakuje. Jednakże kirysyery przerznęli pułk 4ty i spieszyli na drugą naszą linią, na której stojący nowej formacyi 5ty pułk ułanów (Zamojskich) roztrącili. Tym sposobem znaleźli się na naszych po za naszą drugą linią i już dochodzili do kolumny (stoi nieopodal Pragi przy głównym gościńcu murowanym z Warszawy do Brześcia litewskiego, słup metalowy czyli kolumna na pamiątkę połączenia Litwy z Polską). Prawda, iż ogień 4tego pułku i silny bieg długiej dystancyi nadwerężył nieco porządek w ich szeregach, zawsze kirysierowie byli na samem osiągnięciu zadania; kilka minut jeszcze, a mogli byli wpaść na Pragę, i przez zajęcie mostu na Wiśle odciąć naszą armię od Warszawy, co byłoby zgubą tejże armii naszej, równocześnie w największym porządku ustępującej ku Pradze; a działo się to około pół do piątej wieczorem dnia 25. lutego 1830 r. W tej chwili byli kirysierowie na wysokości osiągnienia założenia swego i przyczynku do dawnej sławy. Lecz z wysokości spadek niebezpieczny, jak powiedział stary Krasicki. Jaki też los spotkał kirysierów koło tej kolumny — oto jen. Kicki ni ztąd ni z owąd się zjawia na czele divizyona, to jest dwóch szwadronów 2. pułku ułanów, i jednym szwadronem szarżując z frontu, drugim z boku, jak uragan wpada na kirysyerów, rozbija i zrzuconymi z koni zaściela ziemię. Chcieli wprawdzie kirysierowie dać drapaka wydeptaną przez się drogą, lecz tę drogę zastąpił im 5. p. ułanów, który dopiero co przez nich roztrącony, w tej chwili złamany szyk schwycił i front za nimi odwrócił. Zwrócili się kirysierowie w prawo, i wpadli na nasz batalion, który im ogniem rotowym zagroził, a tu ułani między nimi się zwijają, bijąc ich po łbach drzewcami lanc i po pod boki z koni zrzucając, a na nas wołają: „nie strzelaj, my już im sami damy radę.“ I w istocie za łaską Bożą tak dobrze poszła robota, iż w 10 minut nie było już „niezwyciężonych,“ zginął na zawsze pułk kirysyerów Albrechta, a konie pozbawione jeźdźców biegały po polu, a niezwyciężeni rycerze, przez 300 naszych ułanów zwalczeni, zalegali ziemię. Z całego ogromnie licznego pułku zaledwo 50. a podobno i pułkownik uciec zdołało; w kolumnach swoich roznieśli straszny popłoch mówiąc: „Lachy nas wsich wyryzały;“ z którego to popłochu można było skorzystać, ale cóż kiedy po spadnięciu z konia rannego gen. Chłopickiego nie było właściwie naczelnej komendy, a zastępujący gen. Skrzynecki w trudnem był położeniu, korzyści więc nie odniesiono, myśląc jedynie o uratowaniu armii i zatrzymaniu Warszawy.

Kirysyer moskiewski bardzo ciężko uzbrojony i ciężkiemi blachami obciśnięty, nie tak łatwo pałaszem lub lancą go skaleczyć, ale łatwy do strącenia z konia, a gdy raz upadnie, bez pomocy podnieść się nie może. Ponieważ jak powiedziałem, nasz batalion na miejscu tej walki się znajdował, więc mieliśmy z nimi ten kłopot, że musieliśmy ich podnosić, co krok dawał się słyszeć głos: „bratiec podaj ruku, pajdu w plen.“ Oczywiście, że wszystkich zabrano z bardzo małym procentem rannych, a koni także dużo połapano.

Tu zdarza mi się sposobność odpowiedzieć tym co utrzymują, iż generał podrzędny nie potrzebuje zdolności, byle tylko wykonać umiał to, co mu ze sztabu rozkażą; pytam się, co mogło się stać, gdyby gen. Kicki był tego rodzaju generałem? przecież w jego rozkazie szarża na kirysyerów nie była przewidzianą, czyż miał czekać na rozkaz? Gen. Kicki rozkazu nie czekał, ale widząc co się dzieje, własnym pomysłem, na własną rękę i własną odpowiedzialność, zdejmuje z pozycyi najbliżej stojące dwa szwadrony 2. pułku ułanów, porywa je i wykonywa jedną z najświetniejszych w historyi szarz, szarżę, jaką tylko polski ułan wykonać zdolen, rozbija trzykroć, a może czterykroć liczniejszego przeciwnika, znosi cały pułk i w niewolę zabiera — co byłoby się stało, gdyby gen. Kicki był jednym z tych generałów, co tylko ścisłością wykonania rozkazów zdolność swą znaczą.

Gdy wypadki bitwy tak stały, dzień się miał ku zmierzchowi a armia nasza w bezprzykładnym porządku wykonywała pełny odwrót ku Pradze i Warszawie; Moskale się nie posuwali i już tylko armatnie kule za nami ciskali, nasza artylerya ciągle się odstrzeliwała.

Duch armii był taki, żołnierz tak czuł, iż tylko zbytnia liczebna przewaga nie dozwoliła nieprzyjaciela pobić, tak niespodziane pasowanie się uczuł silnem, iż w pewnej otusze, że na raz drugi nie będziemy ustępować, ale Moskala pędzić, pełni ducha i wiary, mężni i silni, jakby po odniesionem zwycięstwie do Warszawy wchodzili. I rzeczywiście epizody były smutne a zdumieni oporem Moskale, jak się później dowiedziano, już nie ścigać nas, już nie zdobywać Warszawy, ale przygotowali się do tego, że my na drugi dzień powtórną bitwę im wydamy, i w wielkim byli strachu a nawet na gościńcu od Pragi przekopy poczynili.

Batalion nasz znów noc na Grand-gardzie na Pradze przepędził, a drugiego dnia z rana złączył się z pułkiem rozłożonym w obozie 2. dywizyi na Powązkach. Opowiadając wypadki bitwy Grochowskiej, umieścić muszę fakt niemałej odwagi osobistej: przed samem rozpoczęciem bitwy, przed wystąpieniem tyralierów, a obiedwie nieprzyjacielskie linie były bardzo zbliżone do siebie, gen. książę Michał Radziwił nominalny naczelny wódz wojska polskiego, otoczony głównym sztabem, a była to grupa 30—40 koni, przeciągał kłusem po przed frontem pierwszej linii naszej od prawego skrzydła, to jest od Wisły do skrzydła lewego. W orszaku tym znajdował się należący do sztabu pan Władysław Zamojski, późniejszy pułkownik i szef sztabu korpusu gen. Ramorina. Oddzielił on się od sztabu, i wziąwszy ukośny kierunek na prawo, w pełnym cwale w parę minut znalazł się przed frontem linii nieprzyjacielskiej. Przed jednym z batalionów osadza konia i po moskiewsku woła do chorążego: „Podaj sztandar.“ Chorąży nastojaszczy sałdat, widząc przed sobą oficera, i słysząc jego rozkaz, machinalnie podaje mu sztandar. Zamojski sztandar chwyta i uwozi. Po chwili batalion się opamiętał, dał ognia, ale on się już daleko osadził, i żadna kula go nie dosięgła. Takie bezowocne hazardowanie, nie zupełnie zasługuje na pochwałę, jednakże podobne fakta podnoszą ducha w wojsku.

Pułk nasz, powtarzam, zajął obóz drugiej dywizyi. Kilka lat przed rewolucyą W. książę na letnich miesięcy cztery, ściągnął całą piechotę pod Warszawę, gdzie za Powązkami kazał pobudować z drzewa takie baraki, iż każda dywizya, każda brygada, każdy pułk, batalion a nawet kompania miała swoje baraki, i to się nazywało, że wojsko idzie do obozu; i rzeczywiście służba obozowa tak ściśle bywała wykonywaną, jakby o $^1/_2$ mili znajdował się nieprzyjaciel. Baraki te najtroskliwiej przez zimę były strzeżone przez zostawione na to komendy z pułków a ozdobione pięknemi ogródkami i ulicami służącemi zarazem do wystąpienia oddziałów. Było to cacko w swoim rodzaju. Nasz więc pułk zajął swoje baraki. W parę dni przekwaterowano nas na Marymont, a później na przedmieście za Lesznem. Batalion 3ci zajął ulicę Ogrodnicką. Od czasu do czasu dawał nasz pułk po jednym batalionie na służbę do szańca przedmostowego na Pragę. Most Łyżwowy na Wiśle był podówczas ściągnięty, nie bardzo było przyjemnie po wezbranej Wiśle na galarach się przeprawiać, ale dzięki Bogu wypadku nie mieliśmy. W ciągu tylu bitew straty były niemałe, w samej tylko bitwie Grochowskiej padło z 3. pułku, szesnastu młodych podoficerów, mówiono o kompletowaniu, ale do tego tak prędko nie przyszło, a kompanie zaledwo po 150 ludzi liczyły.

Tak staliśmy w Warszawie pełnych tygodni pięć, od 25 do końca marca. Kroki wojenne na całej linii zawieszone, bezczynność zupełna. Aż dopiero ostatniego marca przy wieczornym appelu rozkaz, by o godzinie 9tej na placach zbornych to jest appelowych z całym pakunkiem stanąć. Około god. 10tej pułk się zebrał na Lesznie, ciągnąc przez Nowyświat, Krakowskie przedmieście stanął nieopodal Bernardynów. Tu widok niespodziewany, ze wszystkich ulic płynęły oddziały wojsk rożnej broni, a wszystkie dążyły na ulicę Bednarską ku mostowi. Cichość największa, szmeru żadnego, kawalerya nawet pałaszami nie brzę-

kała. Ze wszystkiego wnioskować się dało, iż to jakaś niespodzianka się gotuje, tem więcej, że spostrzegliśmy takie pułki, które w Warszawie nie stały. Gdy przyszła kolej, nasz pułk spuścił się Bednarską ulicą nad Wisłą i wstąpił na most. Dla cichości most był wysłany słomą. Po przejściu mostu ustawiono nasz pułk w kolumny na placu wołowym od rogatki Grochowskiej. Ogromny plac ten był założony artyleryą, piechotą i konnicą, a wszystko tak ściśnione, iż jak to mówią, szpilki by nie wmieścił, cichość tak bezwzględna, iż do dziś trudno mi zrozumieć jak zebranych w jeden punkt parę dziesiątków tysięcy ludzi, tak cicho zachować się mogli. Jest to niemały dowód karności, nakazano cichość, i cichość zachowaną była, nawet koń żaden nie zarżał, a była to ostrożność konieczna, bo forpoczty moskiewskie po pod same okopy Pragi dochodziły. Piechota w kolumnach przy broni siedziała, kawalerzyści konie w rękach trzymali i tak czekaliśmy poranku. O pierwszym brzasku rannym, a czas był mglisty, parę szwadronów krakusów wsiadło na koń, i zaczęli rogatką Grochowską w pole wychodzić, za nimi całe wojsko ruszać się zaczęło. Zaledwo konna awangarda za rogatki wyszła, dały się słyszeć strzały pikiet i placówek moskiewskich, dalej alarm w ich obozie. Nasi po obu stronach gościńca się uformowali a 3ci pułk zaraz na kawaleryą postępować przeznaczony. Zaczęła się słaba kanonada, a jakiś przejeżdżający oficer sztabowy, dał nam dobrą nadzieję pomyślnego dnia, mówiąc: „Dziś Moskale tęgo po skórze wezmą.“ Jak tylko czas pozwolił ustawić echalony, wyprawa nasza ruszyła się naprzód, a Moskale wszędzie nie czekając nadejścia naszej piechoty, przed samą kawaleryą naszą ustępowali, albo wcale, albo bardzo licho się odstrzeliwując. Uciekali w największym popłochu, zostawiając obozowe sprzęty, zapasy żywności i wódkę w beczkach. Jednej partyi żołnierze niechcąc by wódka naszym się dostała, wykopali na prędce dół, beczkę weń wstawili, przesypali ziemią i postawili krzyżyk drewniany jakby to było miejsce wiecznego spoczynku jakiego poległego. Lecz naszych wiarusów nie łatwo było w pole wyprowadzić, zwietrzyli podstęp, odkopali wódkę i wypili, długi czas Moskale nigdzie się nie wstrzymali i nigdzie się nie zwarli, ale też i uciekających trudno było doścignąć; lecz inaczej powiodło się dywizyi, która rogatkami od Jabłonny z Pragi wyszła i postępowała traktem od Jabłonny do Miłośny prowadzącym. Otóż jedna brygada moskiewska tymże samym gościńcem się ku głównej komendzie ku Miłośnie cofająca, alias uciekająca, zaskoczona przez naszych w tym punkcie, gdzie trakt od Jabłonny łączy się z głównym gościńcem, zaatakowana przez brygadę tamtej dywizyi, a mianowicie przez 1szy i 5ty pułk piech. lin. całkiem zniesioną została, parę tysięcy wzięto do niewoli, resztę wybito. (C. d. n.)

NIEBIESKI KAPELUSIK.

Nowella.

KAROLA NERREGA.

Jesteśmy w przedpokoju margrabiego Mederyka de V. młodzieńca, posiadającego dwakroć stotysięcy franków rocznego dochodu i historyczne imię. Godzina jedenasta rano. Pierwszy kamerdyner margrabiego, imci pan Celestyn, czytając *Figaro*, zdaje się nie słyszeć dzwonka od kilku minut rozlegającego się u drzwi wchodowych. Donośne przekleństwo dopiero, po którem poznał głos niecierpliwego gościa, skłoniło go do poruszenia się z miejsca i spełnienia osobiście tak poziomej funkcyi, jaką jest otworzenie drzwi. Znaczący fakt ten dostatecznie powinien uprzedzić czytelnika o godności i społecznem stanowisku osoby, która w tejże chwili ukazała się na progu.

— Co tu u was za porządek — zawołał wchodząc hrabia Paweł L. — od pół godziny dzwonię i dodzwonić się nie mogę.

— Pan hrabia raczy wybaczyć — uniewinniał się Celestyn — ale byłem tak zajęty... Czy mam obudzić pana margrabiego? — dodał prostując się nieco.

— Nie potrzeba — chciałem poprzednio z tobą się rozmówić.

— Jestem na rozkazy pana hrabiego. — Może pan hrabia zechce przejść do salonu?

— Nie, dwa słowa tylko: w jakim stanie jest obecnie serce twojego pana?

— Panie hrabio! takie zapytanie przynosi ujmę mojemu honorowi! Ja miałbym zdradzać tajemnicę mojego pana!...

Dźwięk złota przesuwającego się z ręki do ręki, przerwał skrupuły zacnego kamerdynera.

— Proszę cię — nalegał hrabia — ze mną przecież nie potrzebujesz robić skrupułów.

— W istocie, panu hrabiemu trudno cokolwiek odmówić...

— A więc?...

— Jesteśmy zupełnie swobodni.

— Żadnego romansu na porządku dziennym?...

— Żadnego.

— I nikt tu nie bywa?

— Nie widziałem tu żadnej kobiety, oprócz panien: Ludwiki, Ireny, Eugenii, Klotyldy, Wiktoryi, Estelki, Laury...

— Dosyć już, dosyć tej litanii. Cóżeś mi więc mówił o jakiejś swobodzie?

— Mówiłem i obstaję przy mojem zdaniu, że skoro pan margrabia utrzymuje tak liczne stosunki, dowód to, że nie ma w tem nic na seryo.

— Jak widzę pan Celestyn lubi bawić się w filozofowanie.

— Do usług. Ale skoro pan hrabia tyle łaskaw, może wolno mi będzie zapytać, dokąd zmierza całe to badanie.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

— Bo jeżeli pan hrabia ma na myśli małżeństwo — mówił z pewnym odcieniem złośliwości kamerdyner — mógłbym udzielić dość ważnych wskazówek.

— Jakież to wskazówki?

— Ah! — wykrzyknął z oburzeniem Celestyn — więc pan hrabia na seryo zamierza ożenić mojego pana! Nie, doprawdy, tego nigdybym się nie spodziewał!

— Pan Celestyn nie jest zwolennikiem małżeństwa?

— Idzie mi o szczęście mojego pana!

— A cóżby stracił, gdyby się ożenił?

— Wiem tylko, że nicby nie zyskał; co do mnie, nigdybym nie zgodził się służyć człowiekowi żonatemu!

— Że jednak ja jestem kawalerem, zechciej tymczasem uprzedzić swego pana, że radbym się z nim zobaczyć.

Celestyn skłonił się w milczeniu, i z majestatyczną powagą otworzył drzwi do sypialni.

* * *

— Kto tam? — zapytał nawpół senny margrabia.

— To ja, Paweł. Jestem tu już od chwili, bo nie wiedziałem czyś już się przebudził. Dopiero jedenasta godzina.

— Cóż znowu za ceremonie! trzeba było wejść od razu. Ale powiedz mi, jakim cudem ty się tak rano zerwałeś z łóżka.

— Mam ci ważną rzecz do zakomunikowania.

— Zaczynaj więc — słucham! — A ty co tu robisz? — dodał, zwracając się do kamerdynera.

— Pan hrabia może śmiało mówić przy mnie — odpowiedział ironicznie Celestyn — wiem, że to tylko o małżeństwo idzie.

— O małżeństwo! — zawołał Mederyk, wyskakując z łóżka. W takim razie, spiesz Celestynie i podaj nam posilne śniadanie, a ty Pawle nie mów ani słowa, dopóki dobrze przygotowani na wszelkie ewentualności nie zasiądziemy przy stole!

— Źle idzie! — pomyślał Paweł.

— Doskonale idzie! — pomyślał Celestyn, wychodząc z gabinetu i rzucając tryumfalne na hrabiego spojrzenie.

* * *

Podczas śniadania Paweł przez dwie godziny wysilał się na pochwały instytucyi małżeństwa. Wpadł w taki zapał, że chwilami sam z przyjemnością przysłuchiwał się swojej wymowie. Mederyk, ze swej strony, skutecznie zbijał jego argumenty poprzestając na wyliczaniu imion, nazwisk i tytułów, głośniejszych mężów, począwszy od Menelausa, którzy mieli wszelkie prawo wyrzucać sobie, że nie mieli odwagi wytrwać w kawalerskim stanie.

Widząc nareszcie, że w ten sposób sprawa nigdy załatwioną nie będzie, zawołał hrabia Paweł:

— Przystąpmy do rzeczy. Mam kuzynkę, wdówkę, która gotowa jest ze ślepem zaufaniem oddać swą rękę mężczyźnie mojego wyboru. Ponieważ zaś ty jeden posiadasz najwyższy mój szacunek, oddaję ci ją.

— Dziękuję ci.

— To perła prawdziwa!

— Nie stroję się w perły.

— Anioł!

— I anioła nie chcę.

— Jest młoda i piękna.

— Cóż mnie to obchodzi?

— Bogata i dobrze wychowana.

— Wszystko to mi jedno.

— W przyszłą niedzielę, o godzinie dwunastej, będzie na mszy w kościele św. Rocha. Usiądzie po prawej stronie ambony, a poznasz ją po niebieskim kapelusiku z białem ubraniem. Idź ją zobacz.

— Nie pójdę.

— Proszę cię.

— Daj mi pokój.

— Jeżeli nie zakochasz się w niej od pierwszego spojrzenia, ani słowa więcej nie powiem.

— I tak już za wiele mówił.

— Zrób to dla mnie, proszę cię!

— Dobrze już, dobrze; pójdę do św. Rocha, ale do czego to wszystko doprowadzi?

— Będziesz oczarowany.

— Tego się nie obawiam.

— A ja jestem pewny tego.

— Jak się nazywa ten anioł?

— Powiem ci, jak ją zobaczysz, jeśli, rozumie się, pierwsze to spotkanie nie będzie ostatniem.

* * *

Następnej niedzieli margrabia Mederyk znajdował się w południe w kościele św. Rocha.

— Przyrzekłem Pawłowi — mówił w duchu — że tu przyjdę i jestem. Po prawej stronie ambony miała być jakaś zaczarowana księżniczka w niebieskim kapelusiku z białem ubraniem; nie widzę nic podobnego, odchodzę więc; słowa dotrzymałem.

Już dochodził do kruchty, gdy spostrzegł wchodzącą do kościoła prześliczną kobietę w kapeluszu, który wydał mu się niebieskim z białem ubraniem, albo też białym z niebieskiem ubraniem.

Zatrzymał się, aby bliżej zbadać tę okoliczność. Ale nie łatwą było to rzeczą; widział niebieską gazę, biały atłas, tiul niebieski i jedwab biały. Cztery te materye, sztucznie z sobą pomięszane tworzyły całość mającą uchodzić za kapelusz, ale czy kapelusz ten był biały czy niebieski? Aby rozwiązać podobną kwestyę, trzeba być czemś więcej aniżeli mężczyzną — trzeba być kobietą.

Mederyk zawahał się, i powrócił.

Dama zajęła miejsce po prawej stronie kazalnicy.

— Kapelusik niezawodnie jest niebieski! — zawołał *in petto* uradowany margrabia. — Nie podlega to już najmniejszej wątpliwości.

Przez całą mszę nie spuścił oka z nieznajomej, a rezultatem tego niezbyt właściwego zakochania się w kościele, była nowa uwaga.

— Paweł miał słuszność, kuzynka jego jest zachwycająca! Muszę się dowiedzieć gdzie ona mieszka i jak się nazywa.

— Zdaje mi się, że ten pan z kościoła idzie ciągle za mną; ale to już nasza własna wina: dla czego się tak samo ubieramy jak kobiety z demi-mond'u — mówiła do siebia dama w niebieskim kapelusiku, wchodząc do jednego ze skromnych domów przy ulicy d'Alger.

* * *

Żona miejscowego odźwiernego oświadczyła margrabiemu, że dama w niebieskim kapelusiku jest od lat trzech wdową, że nazywa się Arabella de P. i że mieszka na czwartem piętrze, nie licząc antresoli, co strasznie zakrawało na piąte piętro.

Jakim sposobem żona Cerbera okazała się tak wymowną w obec Mederyka, którego w pierwszej chwili nader opryskliwie przyjęła, nie umiem tego powiedzieć; domyślam się tylko, że musiała pośredniczyć pomiędzy niemi sztuka owego marnego kruszcu, który już tyle kobiet zgubił, a ani jednej nie sprowadził na drogę uczciwości.

Pytanie teraz — mówił sam do siebie Mederyk — czy mam iść, czy nie, do tej pani Arabelli, a chociażbym i poszedł, to o cóż mógłbym się zamówić. Doprawdy, sam nie pojmuję dlaczego szedłem za nią i w jakim celu badałem odźwierną...

Rozmyślając i monologując w ten sposób, margrabia ani się spostrzegł kiedy zaszedł na piąte piętro, zawahał się raz jeszcze, potem zadzwonił i wszedł do mieszkania damy w niebieskim kapelusiku, przyrzekając, że tylko w ostatniej konieczności wymieni nazwisko hrabiego Pawła L.

— Pani Arabella de P. — szepnął nieśmiało, stając w progu saloniku.

— Ja nią jestem — odpowiedziała gospodyni domu, wydająca mu się jeszcze piękniejszą bez kapelusza niebieskiego, a może też białego.

Po długiem, kłopotliwem milczeniu, Mederyk zaczął znowu:

— Przychodzę tu.... przybywam....

— Ah! domyślam się! — przerwała mu nagle pani Arabella — jesteś pan nauczycielem języka niemieckiego, a przysłała cię moja przyjaciółka pani Delattre. Najmocniej pana przepraszam, że od razu nie ułatwiłam mu najtrudniejszego zwykle pierwszego kroku. Którą godzinę zechcesz pan poświęcić mojej córce?

— Którą pani rozkażesz — odpowiedział Mederyk, zdecydowany na wszystko byle tylko przedłużyć tak pięknie zawiązany stosunek, gotów nawet dawać lekcye języka, z którego ani jednego wyrazu nie rozumiał.

— A więc od dziewiątej do dziesiątej rano. Jesteś pan wolny w tym czasie?

— Jestem zawsze wolny... To jest chciałem powiedzieć, że obecnie wszyscy moi uczniowie wyjechali na wieś — poprawił się, widząc, że powiedział niedorzeczność.

— W takim razie będę prosić, abyś pan zechciał przez jakiś czas przychodzić codziennie.

— Z największą chęcią, pani.

— Co do honoraryum, otrzymywałeś pan od pani Delattre 50 franków za piętnaście lekcyi, ja ofiaruję panu sto franków, za trzydzieści godzin.

— Jesteś pani nieskończenie łaskawą!

— Oczekujemy więc pana jutro.

— Jutro, łaskawa pani.

Margrabia oddala się, składając na pożegnanie głęboki ukłon.

Pierwszą myślą Mederyka było teraz pospieszyć do Pawła, aby mu opowiedzieć o tem, co zaszło. Rozmyślił się jednak i napisał tylko następujący bilecik:

„Drogi Pawle!

Ani słowa o mnie przed wiadomą osobą, aż do dalszych rozkazów. Rozpocząłem prześliczny romansik, który, mam nadzieję, skończy się jak wszystkie romanse, małżeństwem. Dziękuję ci.

Twój Mederyk.“

— Odnieś natychmiast ten list do hrabiego — rzekł, wręczając bilecik Celestynowi, a drugą ręką pokręcając wąsa, jakby uczynić powinien nieodrodny potomek Don Juana.

— Mój pan powrócił zanadto wesoły — mruknął pod nosem Celestyn wychodząc z gabinetu. — To zły znak; spisek pana Pawła przeciw moim prawom musi być na dobrej drodze! Trzeba temu zaradzić i zapobiedz póki czas jeszcze!... (Dok. nast.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE

Tłomaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Nie szaleją już więcej za temi rękojmiami politycznemi, zasługującemi jednak na zainteresowanie się obywatela, i których godzina znowu nadejdzie. Natomiast bardziej aniżeli kiedykolwiek zajmują się swobodami cywilnemi, osobnikowemi, temi prawami, z którymi się w życiu codzień stykamy. W taki to sposób bez uprzedniego zamiaru poruszamy oba naraz zagadnienia, którem zajmują się Mill i Evetvoes. Ze wszystkich tych swobód, z największym zapałem domagają się swobody wyznaniowej. Trzydzieści lat minęło jak Vinet domagał się oddzielenia kościoła od państwa, jak Samuel Vincent wygłaszał swe głębokie poglądy na *protestantyzm francuski*, głosy ich były głosami wołających na puszczy. Dzisiaj rzecz się ma inaczej, każdy chętnie słucha pp.: de Presensé, Jules Simona i Paradol'a, czują wszyscy, że jesteśmy w okresie przejściowym, a więc w położeniu fałszywem, chcą już raz skończyć we Francyi z resztkami systemu obalonego przez rewolucyą. Niegdyś, gdy kościoł i państwo prawdziwym małżeńskim były złączone węzłem, gdy król Francyi był osobistością świętą, pomazańcem pańskim, był starszym synem kościoła katolickiego, łatwo pojąć, że religia katolicka podtrzymywała królewskość, a władza królewska broniła religii. Było to błędem, lecz błąd ten był logicznym. Dziś państwo zarówno opiekuje się katolikami, protestantami, żydami, a w razie potrzeby i muzułmanami. Duch rządu jest dziś świeckim, a prawo zachowuje się wobec spraw tych obojętnie. Czem może być ta opieka, rozciągająca się nad rozmaitemi kościołami, jeżeli nie niewolą administracyjną? Dla państwa nie stanowi to korzyści, interwencya jego zachęca do roszczeń, którym ono zadość uczynić nie jest w stanie i gromadzi trudności, których ominąć nie może. Patrzcie na rozmaite zamieszki, namiętności palące, wywoływane sprawami włoskiemi. Wewnątrz kraju jeszcze więcej niedogodności, prawa nie są w zgodzie z tą wielką zasadą wolności religijnej, zasadą stanowiącą chwałę czasów nowożytnych. Protestanci lub katolicy oddzielają się od uprawnionego kościoła i łączą się razem, by wspólnie odczytywać ewangelią. Pozywają ich przed policyą poprawczą za czyn, w którym prawo widzi przestępstwo, a który szanuje każdy uczciwy człowiek. Skazany przez sąd, ułaskawiony przez mniemanie powszechne nowy kościół na nowo otwiera swe zebrania, wtedy pastora i wiernych posełają do więzienia. Na taki skandal budzi się duch publiczny, i gdy mniemani winowajcy przegrali swą sprawę, rząd nadaje im przyzwolenie, którego się napróżno domagali. Któż wygrywa na podobnym sposobie działania? Czy religia, czy sąd, czy władza? Nie byłożby prostszym i słuszniejszym pozostawić każdego panem swej wiary, poruczając staraniom sprawiedliwości ukaranie tych, którzy, co niepodobna, pod pozorem kościoła będą chcieli ukryć klub polityczny. Zaprawdę, podobna reforma w niczemby nie osłabiła państwa, a doniosłość jej byłaby niezmierna. Nie rozumieją do jakiego stopnia religia panuje i reguluje wszystkie nasze idee. Jakkolwiek uważają ją za upadłą, jest ona jednak królową dusz i dla odzyskania władzy potrzebuje tylko wolności. Zkądinąd, wyswobodzenie to przyniosłoby korzyści nietylko chrześcianom. Skoro przyznaje się prawo zebrań i stowarzyszeń wiernemu, jakże go odmówić obywatelowi?

Wolność zebrań i stowarzyszeń jest nieznaną we Francyi, nieznaną tak dalece, że zaledwie o niej marzą. Odrobinka takowej znies oną została pod ostatniem panowaniem przez prawo surowe, które nie powinno było przetrwać okoliczności W pewnym ustępie swych Pamiętników, gdzie samego siebie sądzi z surowością, Guizot żałuje, że skrępowano nieograniczenie i w sposób ogólny jedno z najcenniejszych praw obywatelskich, jeden z istotnych warunków cywilizacyi nowożytnej. Dość spojrzeć na Anglią, by ujrzeć w niej cuda, jakie stwarza stowarzyszenie. Jest to siła krajów wolnych, bardziej

aniżeli wszystko inne przykłada się ona do wstrzymywania państwa w granicach, nakłaniając społeczeństwo do dobrowolnego robienia tego, co administracya robi bez nas, niekiedy wbrew nas a zawsze za nasze pieniądze. W Stanach Zjednoczonych zarówno jak w Anglii wszystkiemu podoływa stowarzyszenie. Religia, wychowanie, literatura, nauki, sztuki, szpitale, zakłady dobroczynne, kasy oszczędności, ubezpieczenia, banki, koleje żelazne, przemysł, żegluga, wszystko to żyje i prosperuje dzięki swobodnym usiłowaniom obywateli. Czy widzimy, aby kościoły były tam mniej liczne i gorzej uposażone, misye mniej żarliwe, miłosierdzie mniej czynne, duch przedsiębiorczy mniej rozwinięty? Jest to nowy dowód prawdy, prawdy niepotrzebującej powtarzania. Przeciwnicy centralizacyi nie chcą osłabić tego, co nazwę pracą społeczną, owszem, chcą ją wzmocnić i powiększyć. Domagając się aby władza mniej działała, myślą o tem, aby więcej działało społeczeństwo.

Francya, powie kto może, przywykła liczyć na państwo, wiem, że na tem polega nasza słabość. Lecz pod pozorem złego wychowania, jakie nam dano, i złych nawyków, o jakie nas posądzają, nie należy nas uważać za niezdolnych. Towarzystwom dróg żelaznych i żeglugi powiodło się, stowarzyszenia wzajemnej pomocy rozwijają wielką działalność, nigdyśmy nie przeniewierzyli się wolności, gdy nam działać pozwolono. Możnaby więc bardziej zaufać krajowi. Państwo, powie ktoś, nie odmawia upoważnienia temu co dobre, uczciwe, mądre, przypuśćmy, jednak jest to zawsze opieka, i opieka, której nic nie usprawiedliwia. By oświecić lub przysłużyć się mym współobywatelom, by założyć szkołę, szpital lub kościół, by wydać mój majątek na własną narażkę, potrzeba uzyskiwać upoważnienie jakichś biur i uchylać czoła przed przesądami. Muszę się cenić szczęśliwym, jeżeli po tysiącznych zwłokach i uprzykrzeniach, przysądzają mi w drodze łaski to, co mi się z prawa należy. Administracya, doda ktoś, składa się z ludzi z talentem, ożywionych najlepszymi zamiarami, przypuśćmy raz jeszcze. Lecz pominąwszy i to, że nie są oni nieomylnymi, i że poprzednicy ich więcej niż raz się pomylili, dwadzieścia to już przeszło wieków od czasu jak starożytni określali wolność jako porządek rzeczy, przy którym człowiek posłusznym jest nie człowiekowi, lecz prawu.

Katolicy napadli na monopol Uniwersytetu i zrobili w nim wyłom. Za monarchii 1830 roku opierano się ich roszczeniom, widziano w takowych tylko manewr stronnictwa, i co nie rzadko się zdarza we Francyi, odrzucono wolność z obawy, aby nie przyniosła, oprócz przyjaciół, korzyści i innym. Gdyby izby więcej były pokładały zaufania w kraju, Guizot byłby dokończył reformy szczęśliwie rozpoczętej, cieszylibyśmy się urządzeniami, któreby nam były bardzo potrzebnemi, jakkolwiek co się tyczy tego punktu, mniemanie powszechne zupełnie było uspione. Nie mamy najmniejszego nawet pojęcia o tem, czem być winno wyższe nauczanie ucywilizowanego narodu, a przecie w fakultetach naszych pokolenie, które się kiedyś zajmie sprawami naszemi, czerpać winno pojęcia zdrowe i jasne. Czyli wyswobodzenie profesorów i uczących się grozi niebezpieczeństwem? Belgia pozwoliła duchowieństwu założyć uniwersytet wolny w Louvain, liberalni podobny założyli w Brukseli: czyli duch nieporządku panuje przed naszemi bramami? W Niemczech profesor jest dziesięć razy bardziej niezależny jak we Francyi, mówią tam o wszystkiem ze śmiałością, która nas w podziw wprawia. Jakie są wyniki tej mniemanej swawoli? Oto dzięki jej Niemcy oszukują potrzebę wolności politycznej, która miota niemi od r. 1815, rewolucya wre bezustannie w uniwersytetach, lecz obalają ją u nich nie rządy, lecz systematy filozoficzne. Gdy pierwszy szał młodości minął, wracają do rzeczywistego życia z zamiłowaniem nauki i z miłością ojczyzny. Czy odnosimy takie korzyści z naszych zakładów tak dobrze urządzonych?

Wolność prasy, jest jedną ze zdobyczy, któreśmy powinni zawdzięczać karcie z r. 1830. Jest to jedna z pośród ważniejszych przyczyn wpływu francuskiego w Europie. Dzięki jasności francuskiego języka, talentowi francuskich pisarzy, idee ich wciskają się do rządów, które się najbardziej nas lękają, do ludów, które nas najmniej kochają. Lecz wolność prasy jest niezupełną, póki nie ma zupełnej wolności dziennikarstwa. Wiem dobrze, że odróżniają i robią z dziennika rodzaj narzędzia politycznego, organ uprzywilejowany, monopol udzielony przez państwo i podległy jego kierownictwu. Są to teorye tak zręczne i subtelne, że nie jestem w stanie objąć ich zasługi, przeciwnie widzę tylko w nich fałsz i niebezpieczeństwo. Dziennik, jest to *forum* narodów nowożytnych, placem publicznym, gdzie każdy ma prawo wygłaszać swe pojęcia i wynurzać swe żale. Jeśli jest czemś innem, to nie jego w tem wina, lecz praw opiekuńczych, które od trzydziestu lat połowiczną tylko przyznały mu wolność. Gdy przez stęple, kaucye, upoważnienie administracyjne, ostrzeżenia, przywileje administratora i drukarza zmniejszono liczbę dzienników, czyli nie zmuszono stronnictw do skupienia się około szczupłej liczby sztandarów? Muszą one zapomnieć o swych niesnaskach domowych, zetrzeć różniące ich odcienia, przyjąć wspólny kierunek, jednę kokardę, jedno hasło, jednem słowem działać jak armia. Tę karność, tę jedność przestraszającą państwo, ono samo ustanowiło. Państwo lęka się siły dziennikarstwa, którą ono samo sztucznie wytworzyło.

W Anglii, gdzie prasa jest zupełnie wolną, podział jej jest nieskończonym, nietylko stronnictwo każde posiada swój organ, lecz i każdy kościół maleńki nominalnie do jednego należy stronnictwa. Nie ma jednego odcienia religijnego, politycznego, literackiego, któryby nie miał przedstawiciela w własnym organie. Cóż z tego wynika? to, że prasa nie jest polityczną. *Times* nie tworzy i nie obala ministrów. Prasa jest czemś więcej jak czwartą potęgą w państwie, jest głosem mniemania powszechnego, głosem, którego zawsze słuchać musi państwo. Co rano, te tysiące zadrukowanych ćwiartek donoszą Anglii, co myśli, co chce, co robi, co cierpi najmniejsze z jej dzieci, jest to policya najlepiej urządzona i policya, która nic nie kosztuje, jest to wykształcenie wszechstronne i bezpłatne, jest to rękojmia wszystkich praw, rękojmia, której nic zastąpić nie zdoła, jednem słowem, jest to wolność w ruchu. To samo ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Podczas gdy we Francyi dziennik wytwarza opinię, a więc jest potęgą, z którą rachować się trzeba, w Ameryce mniemanie powszechne wytwarza dziennik, dziennik sam przez się jest niczem. To samo będzie miało miejsce wszędzie, gdzie każdy obywatel będzie się mógł z małym kosztem zwrócić swobodnie do publiczności. Nie staram się dotknąć palących stron tej kwestyi, łatwoby było dowieść przy pomocy historyi, że prasa wolna jest siłą dla państwa, zaś prasa administrowana kompromituje je na zewnątrz, nie pomagając mu wewnątrz. Oszukuje ona rząd i upaja go, lecz nie wprowadza w obłęd publiczności. Kiedyż więc pojmiemy, że prawda jest tym dla umysłowości, czem wolność jest dla działalności ludzkiej? Wszystko cokolwiek ją przytłumia, osłabia osobnika, co osłabia zaś osobnika, nie może wzmocnić państwa. (C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD

przez

J z T. T-R.

(Ciąg dalszy).

Dziś rano 11. lutego ksiądz Bielak odprawił mszę na naszą intencyą w kościele OO. Franciszkanów, i uwolniwszy się na parę godzin od zajęć klasztornych, towarzyszył nam na górę Oliwną. Wyszedłszy z miasta bramą św. Szczepana, przez mostek rzucony po nad martwem łożyskiem Cedronu, pominąwszy po prawej Ogrojec, po lewej jaskinię potu, dziś w kaplicę Przemienienia przeistoczoną i obok grób Maryi, (który znaleźliśmy zamknięty, gdyż należąc w jednej połowie do greków, a w drugiej do katolików, w pewnych tylko godzinach jest otwarty), spoczęliśmy pod cieniem drzew oliwnych, o liściu przypominającym nasze wierzby; a że to było po zbiorze oliwek, i wiele ich leżało na ziemi, nakształt drobnych śliwek węgierek, zrobiłam sobie zapas ziarnek, by je posadzić z powrotem do domu. Porozrzucane wszędzie figowe drzewa, obficie darzą owocami przyległe wioski; opowiadano mi, że podczas figobrania wyłażą Arabi na drzewa, i po kolei objadając, oddają się życiu próżniackiemu, dopóki im to pożywienie wystarczy; zdarzenia podobnego, byłam świadkiem u jednego z naszych kmiotków, który przez kilka dni z gruszy nie schodził, aż póki cały owoc nie objadł z drzewa. Dochodząc do większej połowy góry znachodzimy zamurowania kościoła i klasztoru Karmelitanek, wystawione kosztem księżny de la Tour d'Auvergne z domu Boissi. Wzniosłą myślą fundatorki, było umieszczenie na ścianach przedsionku klasztornego „Ojcze nasz“ w trzydziestu dwóch językach narodów wyznających wiarę chrześciańską; odszukaliśmy tę modlitwę i w polskim języku, lecz Francuz, który ją pisał, nie rozumiejąc języka, wiele błędów ortograficznych popełnił, które dopiero ks. Bielak ponaprawiał. Na samym szczycie góry Oliwnej wśród zabudowań arabskich, w miejscu, gdzie dawniej była kaplica, kryjąca kamień z wyciśniętą stopą Chrystusa (bo na tym kamieniu oparłszy się, miał się wznieść do nieba), stoi Meczet, i pomimo tak odmiennego wyznania i nienawiści mahometanów do chrześcian, wolno przecież raz w rok w dzień w Niebo wstąpienia, odprawić w nim nabożeństwo katolickie. Ze szczytu Minaretu, na który nas wpuszczono, napawaliśmy się przecudnym widokiem z jednej strony na Jerozolimę, która w całej swej okazałości, zdumionemu oku smętnie się przedstawia, z drugiej na szarzejące w oddali Mohabickie góry, u stóp których ściele się niebieskie zwierciadło morza Martwego, z ujściem Jordanu. Wychodząc z meczetu, otoczyli

nas Arabowie, ofiarując na sprzedaż rozmaite stare monety, pochodzące z wojen krzyżackich, niby wykopane na górze Oliwnej, które prawdopodobnie tak jak bożki egipskie pod piramidami, pochodzą z fabryki starożytności z Birmingham. Wracając do domu, spotkaliśmy karawanę prowadzoną przez Cooka z Jaffy na Nazaret do Jerozolimy, a wśród niej ową znajomą Amerykankę ze statku „Venus"... Widać było na niej trud przebytej drogi, ale zarazem i zadowolenie, bo wjazd tylko z tej strony przedstawia całkowity obraz miasta, i żywo wzbudza wspomnienia losów, przez jakie Jerozolima w ciągu tylu wieków przechodziła. Po drodze wstąpiliśmy do kościoła Ecce-homo, gdzie się codzień odbywa po obiedzie nabożeństwo, wraz z kazaniem; dziś z okazyi obłóczyn jednej z zakonnic, z trudnością zdołaliśmy przecisnąć się w głąb kościoła, który tak był przepełniony, że mało się nie poduszono. Oprócz miejscowych, przybyła właśnie z Bawaryi procesya pielgrzymów, składająca się z dwudziestu siedmiu osób, między któremi były dwie panie, i literalnie przecisnąć się nie można było. Szczyt wielkiego ołtarza zdobi prześliczna rzeźba z marmuru, „Jezus krzyż dźwigający", która stała się przyczyną dzisiejszej wieczornej sprzeczki dwóch konsulów przy obiedzie w hotelu: Konsul hiszpański bowiem utrzymywał, że większą jest sztuką wykonanie draperyi, niemiecki zaś że wykończenie kształtów ciała stanowi wyższość w tym razie. Nie miał kto rozstrzygać, co do mnie jednak obóm przyznałabym racyą, bo ileż np. wstrząsającej prawdy w każdej żyle konającego gladiatora w Kapitolium, a ileż naodwrót wyrazu w rzuconych od niechcenia fałdach draperyi Chrystusa w kaplicy San Severo w Neapolu?

Kościół Ecce-homo, klasztor i szkoła przygległa zostały wzniesione kosztem bogatego Ratisbone, żyda-neofity, który poświęcił nietylko własny majątek, ale i siebie samego celom religijnym, gdyż sam został księdzem.

Dzień dzisiejszy 12. lutego jest ostatnim dniem naszego pobytu w Jerozolimie; wiele, bardzo wiele miejsc byłoby jeszcze do zwidzenia, ale wszystkie dosyć oddalone, a jedyny sposób dostania się do nich jest podróż wierzchem. Więc tylko w Betlehem o dwie mile oddalonem od Jerozolimy, byliśmy dzisiaj, w towarzystwie księdza Bielaka. Pielgrzymkę tę odbyliśmy na osiołkach, a że często słyszano moje narzekania na złe konie i osły, podano mi też dziś osiołka tak impetycznego temperamentu, że gdy z daleka spostrzegł drugiego osła, począł tak krzyczeć przeraźliwie, i galopować ku niemu, że w połowie wycieczki musiałam się przesiąść na spokojniejszego jego towarzysza. Pierwszym naszym etapem, gdzie nas zatrzymano, była studnia trzech króli, po której jako cała pamiątka zostały się kamienne cembrowiny; cokolwiek dalej na lewo stoi obszerny i piękny, murami obwiedziony, klasztor grecki. Postępując dalej, bieleje się nagrobek, jak mówią, Racheli żony Jakóba, w połowie zaś drogi po prawej stronie na wzgórzu, gdzie widać opiekę starannej ręki, mieszka hr. Caboga, konsul austryacki. Mąż mój, przypomniawszy sobie że razem z hr. Caboga przebył parę lat w Wiedniu w akademii Teresyańskiej, zostawiwszy nas na drodze, wstąpił do niego, obiecawszy swój powrót za kwadrans, co jednak przeciągnęło się na całą godzinę, gdyż dawni koledzy, nie widzieli się ze sobą od lat trzydziestu. Hrabia Caboga ma ciotkę w Galicyi, w sąsiedztwie naszem, w Bilce królewskiej mieszkającą, Wandę z Potockich hr. Caboga, bardzo zacną a osobliwie dla uczącej się młodzieży naszej dobroczynną panią. Opowiedział on mojemu mężowi w krótkości, przebieg życia swego od czasu rozstania się z nim z akademii; był on prefektem w Wenecyi, póki ta należała doAustryi, później został konsulem w Tunis, nareszcie w Jerozolimie, gdzie jako przełożony zakonu kawalerów *Jerozolimitańskich*, buduje dlań ze składek hospicium. Wyjechawszy ztąd, spotkaliśmy na drodze lecącego w cwał z Betlehem konsula francuskiego, który wezwany dla załagodzenia sporu między grekami i katolikami, z wielką biedą zdołał go załagodzić. Rzecz poszła o to, że w katolickiej kaplicy grecy pozdzierali firanki i różnych innych dopuścili się ekscesów, zkąd wielka powstała kłótnia, którą dopiero konsul na chwilę zdołał uspokoić, zażądawszy od paszy asystencyi wojskowej, i w istocie zwiedzając to miejsce zastaliśmy żołnierza tureckiego na warcie.

Miasteczko Betlehem malowniczo położone, na wysuniętem w dolinę wzgórzu, szkarpowato ukształconem i drzewami oliwnemi porośniętem, miły przedstawia widok tak, że z jakąś nieopisaną swobodą w duszy i radością na twarzach wjeżdżaliśmy do tego świętego miejsca. Miasteczko całe, do 3000 ludności mające, zamieszkują prawie sami katolicy. Zostaliśmy w niem serdecznie przyjęci przez tamtejszego proboszcza Polaka; dwaj braciszkowie również Polacy, przyłączyli się do nas, a przy obficie zastawionym stole raczono nas doskonałem winem cypryjskiem, przyrządzonem ze suchych winogron, nadzwyczaj mocnem, którego zdradziecka słodycz zachęca do ciągłego popijania; to też w wesołym humorze udaliśmy się po krótkim odpoczynku do ogródka klasztornego, gdzie nam ów braciszek jako osobliwość pokazywał grządeczkę kartofli przez niego pielęgnowanych, bo wogóle ziemniaki nie rodzą się i nie udają w tej glebie.

Najsamprzód weszliśmy do Bazyliki sięgającej bardzo dawnych czasów, ogołoconej zupełnie z ołtarzy, której tylko 48 kolumn z żółtawego marmuru z korynckiemi kapitelami, dodaje majestatu; niestety w Bazylice tej żadne nabożeństwo się nie odprawia, rząd ottomański bowiem pragnąc ustawicznym sporom między grekami i katolikami, o posiadanie jej toczącym się, tamę położyć, zabronił stanowczo służby bożej. Ztąd wchodzi się do groty podziemnej, zwanej stajenką, w której Chrystus się narodził; nie uwierzyłabym w autentyczność jej, gdyby nie to, że dawniej pastuszkowie istotnie bydło do jaskiń kamiennych zaganiali, a jaskinie takie wieki trwać mogą, więc czemużby do podobnej jaskini i Matka Boska schronić się nie miała. Dziś w grocie tej znajduje się kaplica; bogato złotem tkane kolory zdobią ołtarze, dniem i nocą oświecone gorejącemi lampami... W jaskini narodzenia Chrystusa u stóp ołtarza, na marmurowej białej płycie, czyta się wśród promieni ze srebra i jaspisu, słowa „Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est" (tu z dziewicy Maryi Jezus Chrystus narodził się). O parę kroków dalej Matka Boska złożyła dzieciątko do żłóbka... tu stoją trzy duże srebrne lichtarze, oznaczające trzech mędrców przybyłych ze Wschodu; nie daleko trzeci ołtarz wskazuje miejsce, w którem ci trzej królowie dzieciątku hołd złożyli i dary. Są jeszcze rozmaite inne groty poświęcone różnym świętym; pamiętną jest mi grota świętego Hieronima, w której ten święty tłómaczył stary testament; i grota zwana mleczną, w której Matka Boska miała się ukrywać dłuższy czas, przed ucieczką do Egiptu, a karmiąc dziecię, parę kropli mleka spłynęło na ziemię i zabieliło obszerną przestrzeń. Kamień ów biały zażyty w proszku, ma być cudownem lekarstwem, w którem nawet mahometanki wielką ufność pokładają. Na straży tej groty czuwa Arabka i kosztem też mahometanek jest ona oświetlaną i przystrajaną. Opuściwszy ten kościółek tchnący uroczystym spokojem, powróciliśmy jeszcze do refektarza, aby pożegnać czcigodnych ojców Franciszkanów; w korytarzu zastałam olbrzymi kocioł z gotowaną durchą i tłumy biednych, którym napełniano garnki i miseczki; skosztowałam tej strawy, nie spodziewając się, bym tym czynem prostej ciekawości ogólne wywołała zadowolenie. Z powrotem jadąc przez miasteczko zakupiliśmy dużo pamiątek, których wyrobem trudni się ludność tutejsza; są to różańce, medaliony i krzyżyki z perłowej macicy i kubki z marmuru czarnego znajdującego się obficie koło morza Martwego. Z terassy klasztoru greckiego, w połowie między Betlehem a Jerozolimą leżącego, ujrzeliśmy po raz ostatni cząstkę morza Martwego i jeszcze raz rzuciliśmy okiem na wieńczące je góry Mohabickie oświecone jaskrawym rumieńcem zachodzącego słońca. Uprzejmi zakonnicy nie puścili nas bez dowodów prawdziwie wschodniej gościnności; zaprosili nas do sali, gdzie na *ottomanach*, tureckim sposobem, usiadłszy, za pomocą księdza Bielaka, który był naszym tłumaczem, prowadziliśmy rozmowę potoczną, w ciągu której wniósł usługujący Arab, na tacy kilka słoików konfitur, parę szklanek z wodą i kilka łyżeczek. Ponieważ nie dano talerzyków, więc nie wiedziałam jak się do jedzenia zabrać: dopiero ksiądz Bielak wybawił nas z kłopotu, biorąc łyżeczką konfitury ze słoika i niosąc prosto do ust, popijał wodą. Po serdecznem pożegnaniu i rozdaniu koniecznych bakczisów, na widok gęsto zbierających się chmur dosiedliśmy spiesznie naszych osiołków, ale nie uszliśmy deszczu, bo dojeżdżając do Jerozolimy mocno przemokłam. Przez cały ciąg pobytu jadaliśmy wieczorem obiad w hotelu naszym Mediterra, dokąd prócz konsulów przychodził także dyrektor telegrafu w Jerozolimie, Arab pochodzący z Aleppo, który pouczył nas, że Arabowie choć wyznają jedną religię z Turkami, żywią jednak dla nich głęboką pogardę, czując się daleko nad nich wyższymi wykształceniem i wiedzą, pomni na to, że w średnich wiekach literatura i umiejętności arabskie przodowały całemu światu. (C. d. n.)

BRANKI BUDRYSÓW.

Ballada.

Do Luci, Tereni i Mani.

Lucia, Terenia, Mania,
Łzami ubolewania
    Płaczą losu tych żon *Trzech Budrysów*,
Co to Laszki, baranki,
Niewiniątka — a branki
    U Litwinów — niedźwiedzi, tygrysów!

Zkądże takie współczucie? —
O! dość spojrzeć na Lucię,
    Na Terenię, wesołe koteczki;
Dość się wpatrzyć w te czarne,
Mani oczka figlarne,
    Co się błyszczą jak z chmur dwie gwiazdeczki;

By dojść, że się w tym razie
Same czując w obrazie.
    Tak drżą przed nim ze wstrętem i trwogą:
Ach! a gorsza przyczyna,
Że znać ze mnie, Litwina,
    O Litwinach zdań zmienić nie mogą.

Lecz nie płaczcie! albowiem
Ja wiem, i wam opowiem
Dalszy koniec tej całej przygody.
Wieszcz ją przerwał na chwili,
Gdy synowie wrócili,
A dziad posłał zapraszać na gody.

A tymczasem trzy one,
Rozżalone, strwożone,
Nuż w płacz głośny, poklękłszy na ziemi.
Stary w głowę zachodził,
Cieszył, koił, łagodził
Aż nakoniec nuż płakać wraz z niemi.

Bo w myśl weszła mu ona,
Ukochana, stracona —
Taką była, gdy wiózł ją do domu;
Taką nieraz bywała,
Gdy go płacząc błagała
Aby krzywdy nie czynił nikomu! —

Zrozumiały filutki
Łez i modłów swych skutki —
Więc do dziada z błagalnem wejrzeniem.
Nuż go chwytać za dłonie,
Nuż się tulić na łonie —
Dziad roztopniał, jak wosk przed płomieniem.

„Dzieci! — krzyknął nareszcie.
Gośćmi memi jesteście.
Stary Budrys nie Krzyżak, nie zbójca.
Przez Znicz i przez Perkuna!
Ja wam za opiekuna,
Ja sam stanę za stróża i ojca.

„Hola! słuchać mię chłopcy!
To me córki — wy obcy;
Chcę was z niemi poswatać — lecz próba!
Nie dam żadnej żadnemu
Aż się skłoni ku niemu,
Aż go sama bez musu podoba".

Luci, Mani, Tereni,
Z ócz się radość promieni:
O! z tych Laszek nie będzie Litwinek!
Poczekajcie! boć przecie
Z Lamé-Fleury snać wiecie
Jak to było z porwaniem Sabinek.

Rzecz nie moja powody
Ich miłości i zgody!
Lecz jak prawdę największą rzekł Adam:
Że nad wszystkie ziemianki
Milsze Laszki kochanki,
Tak ja prawdę nie mniejszą powiadam:

Że na całym tym świecie
Nie ma, i nie znajdziecie
Mężów lepszych, jak męże Litwini;
Każdy z nich na głos żony
Jest jak niedźwiedź uczony,
A cierpliwy, jak wielbłąd w pustyni.

A pytam pannę Lucię,
Nie miłeż to uczucie
Czuć się w domu królową i panią?
Pytam pannę Terenię,
Zleż to na swe skinienie
Mieć wnet wszystko co zechcesz? A Manio!

Nieraz ci, jestem pewny,
Śnią się wschodnie królewny,
Słoń za konia, i tron w Palankinie!
Otóż wszystko to prawie
Znaleźć możesz na jawie
W wsi litewskiej, i w mężu Litwinie.

A cóż, rzec o Jadwidze,
O unii?... Lecz widzę
Że dość tego, co rzekłem już wprzódy.
Mani, Tereni, Luci,
Nie dziwi już, ni smuci,
Że bez musu odbyły się gody.

A. E. *Odyniec.*

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIESC EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

II.

Pewnego wtorku, podczas obiadu Helena przerwała chwilową ciszę, mówiąc:

— Co za ulewa, słyszycie?... Biedni przyjaciele, przemokniecie dzisiaj.

— Oh! troszkę — szepnął ksiądz, którego stara sutana już była mokra na ramionach.

— Ja, mam spory kawałek drogi przed sobą, ale wrócę pieszo; lubię taki czas... Zresztą mam parasol.

Joanna zamyśliła się, poważnie spoglądając na ostatnią łyżeczkę swego makaranu. Wreszcie rzekła powoli:

— Rozalia mówiła, że nie przyjdziecie, bo brzydki czas... Mama mówiła, że przyjdziecie... Jesteście bardzo grzeczni, przychodzicie zawsze.

Wszyscy się uśmiechnęli. Helena przyjaźnie kiwnęła głową dwom braciom. Ze dworu dochodził głuchy szum ulewy, i od czasu, do czasu wicher wstrząsał żaluzyami. Zdawało się, że zima wróciła. Rozalia zasunęła firanki z czerwonego rypsu. Mała salka jadalna, ze wszystkich stron zamknięta i oświecona spokojnem światłem białej lampy, stała się miłem, zacisznem schronieniem wśród łoskotu burzy. Spokojne światło odbijało się w porcelanie, stojącej na mahoniowym bufecie. Biesiadnicy, siedząc spokojnie na przeciw nakrycia wzorowo czystego, rozmawiali, nie spiesząc się wcale i cierpliwie oczekując na dania, które służąca unosiła.

— Ah! państwo czekali, tem gorzej! — rzekła poufale Rozalia, wchodząc z półmiskiem. Jest to ryba przysmażona z bułką dla pana Rambaud, a smażyć trzeba dopiero przed samem podaniem.

Pan Rambaud udawał gastronoma, chcąc zabawić Joannę i zrobić przyjemność Rozalii, bardzo dumnej ze swoich kucharskich wiadomości. Obrócił się więc do niej — pytając:

— No jakże, cóż nam dzisiaj dasz?... Zawsze przynosisz coś smacznego, kiedy mi się już jeść nie chce.

— Oh! — odpowiedziała — trzy dania, jak zawsze; nic więcej... Po rybie będzie udziec barani i kapusta brukselska... Na prawdę nic więcej.

Pan Rambaud z ukosa spojrzał na Joannę. Dziewczynka niezmiernie ubawiona, dusiła się ze śmiechu i potrząsała głową, jak gdyby mówiąc, że sługa kłamała. Wówczas i on klasnął językiem z miną powątpiewania, a Rozalia udała, że się gniewa.

— Nie wierzy mi pan — rzekła — dla tego, że panienka śmieje się... No, to dobrze, niechże pan temu wierzy i zachowa apetyt na to, czego nie będzie, a wróciwszy do domu będzie pan musiał zasiąść znowu do stołu.

Kiedy sługa wyszła, Joanna śmiejąc się jeszcze mocniej, ogromną miała chętkę do mówienia.

— Nadto łakomy jesteś — zaczęła; — ja byłam w kuchni...

Tu przerwała sobie.

— Ale nie, nie trzeba mu tego mówić, nieprawdaż mamo?.. Nie ma nic, zupełnie nic. Chciałam cię zwieść i dla tego się śmiałam.

Scena ta powtarzała się co wtorku, zawsze z jednakowem powodzeniem. Helenę rozczulała uprzejmość pana Rambaud, który podzielał tę zabawkę, bo wiedziała, że przez długi czas żył bardzo skromnie, prawdziwie po prowansalsku, zadawalniając się jednym sardelem i kilku oliwkami dziennie. Co do księdza Jouve, ten nigdy nie wiedział co je; często bardzo żartowano nawet z jego niewiadomości pod tym względem i z roztargnienia. Joanna śledziła go błyszczącemi oczyma. Kiedy wniesiono półmisek — rzekła, zwracając się do księdza:

— Jaka to dobra ryba, witlinek!

— Bardzo dobra kochaneczko — odpowiedział. — Prawda, to witlinek; sądziłem, że to płaszcz.

I kiedy wszyscy zaczęli się śmiać, ksiądz naiwnie pytał, czego się śmieją. Rozalia, która nadeszła na to, zdawała się być obrażoną. Oh! ksiądz proboszcz w jej wsi znał się doskonale na tych rzeczach; krając tylko ptastwo, umiał oznaczyć wiek jego; nie potrzebował wchodzić do kuchni, po samym zapachu dowiadywał się, co będzie miał na obiad. Mój Boże! gdyby była służyła u takiego proboszcza jak ksiądz, nie umiałaby nawet jajecznicy usmażyć. Słuchając tych wymówek, ksiądz tłumaczył się z miną zakłopotaną, jak gdyby zupełny brak łakomstwa w naturze jego był wadą, z której nie miał już nawet nadziei poprawić się. Ale, naprawdę, za wiele innych kłopotów miał na głowie.

— To, to udziec barani — rzekła Rozalia, stawiając półmisek na stole.

Wszyscy znowu zaczęli się śmiać, a naprzód sam ksiądz Jouve. Wyciągnął wielką swą głowę i mrugnął małemi oczkami.

— Tak, z pewnością, to udziec barani. Sądzę, że poznałbym go.

Tego dnia zresztą ksiądz więcej jeszcze niż kiedy był roztargniony. Jadł prędko jak człowiek, który się nudzi u stołu i który u siebie jada stojąc; potem czekał na drugich; zamyślony, odpowiadał tylko uśmiechem. Co chwilę rzucał spojrzenie na brata, a w spojrzeniu tem była i zachęta i niepokój zarazem. Pan Rambaud także zdawał się być wzruszony; ale niepokój swój zdradzał jakąś potrzebą ciągłego mówienia i kręcenia się na krześle, co nie było zwyczajnem w jego charakterze, zamkniętym w sobie. Po kapuście brukselskiej nastąpiła cisza; Rozalia opóźniła się z przyniesieniem deseru. Na dworze ulewa gwałtownie się wzmogła, woda zdawała się opłukiwać dom cały. W jadalnej sali zaczęło być duszno. Helena uczuła także jakąś zmianę w powietrzu wiszącą, jakieś coś między dwoma braćmi, czego nie mówili przed nią. Spojrzała na nich z wyrazem troskliwości i szepnęła:

— Mój Boże! co za straszny deszcz!... Nieprawdaż? to na was działa, obaj zdajecie się być cierpiący.

Zaprzeczyli temu, zapewniając ją, że nic im nie było. W tej chwili Rozalia weszła niosąc ogromny półmisek, i pan Rambaud chcąc pokryć wzruszenie swoje, zawołał:

— Czy nie mówiłem? znowu niespodzianka!

Niespodzianką dnia tego był krem z wanilią, jeden z tryumfów kucharki. To też trzeba było widzieć jej szeroki i niemy uśmiech, z jakim po-

stawiła go na stole. Joanna klaskała w ręce powtarzając:

— Wiedziałam o tem, wiedziałam!.. W kuchni widziałam jaja.

— Ale mnie się już jeść nie chce! — wołał pan Rambaud z miną zrozpaczoną. — Nie mogę już jeść.

Rozalia zasępiła się, tłumiąc w sobie gniew. Z miną, pełną godności, rzekła tylko:

— Jakto! krem, który zrobiłam dla panów!... Dobrze! spróbujcie nie jeść... Tak, sprobójcie....

Pan Rambaud musiał ustąpić i wziął sporą ilość kremu. Ksiądz wciąż był roztargniony. Zwinął serwetę i wstał przed końcem deseru, jak mu się to często zdarzało. Chwilę jakąś chodził po pokoju ze spuszczoną głową; potem, kiedy Helena powstała od stołu, rzucił wzrokiem porozumienia na pana Rambaud i uprowadził młodą kobietę do jej sypialnego pokoju. Przez drzwi otwarte natychmiast dały się słyszeć ich głosy, chociaż słów rozróżnić nie można było.

— Spiesz się — mówiła Joanna do pana Rambaud, który zdawał się nie módz dokończyć biszkopcika. — Chcę ci pokazaś moją robotę.

Ale on się nie spieszył. Kiedy jednak Rozalia zaczęła sprzątać ze stołu, musiał powstać także,

— Poczekajże, poczekaj — mówił, kiedy dziecię chciało go pociągnąć do pokoju.

I usuwał się ode drzwi, jak gdyby przestraszony i zakłopotany. A kiedy w tej chwili ksiądz podniósł głos, zrobiło mu się tak słabo, że musiał znowu usiąść przed stołem. Wyjął z kieszeni dziennik.

— Zrobię ci wózek — rzekł.

Tu już Joanna przestała go naglić, by szedł do pokoju. Pan Ramband zachwycał ją zwykle sztuką, z jaką tworzył z jednego arkusza papieru tysiące zabawek. Robił łódki, wózki, biskupie infuły, klatki. Ale teraz palce jego trzęsły się składając papier i nie mogły jakoś podołać temu. Za najmniejszym szelestem, wychodzącym z przyległego pokoju spuszczał głowę. Joanna ogromnie zajęta, oparła się o stół i pochyliła nad nim.

— Potem zrobisz konia — rzekła — i zaprzęgniemy go do wózka.

W pokoju ksiądz Jouve stał w półcieniu, który zasłona lampy rzucała dokoła. Helena siedziała na zwykłem swem miejscu, przed stołem, a że wtorkowi goście nie zawadzali jej przy robocie, więc też i teraz szyła czepeczek dziecinny; w kole żywego światła, które padało od lampy, widać było bezustanne poruszenie białych jej rąk.

— Joanna już ci nie sprawia żadnego niepokoju — zapytał ksiądz?

Potrzęsła głową, zanim odpowiedziała.

— Doktor Deberle zdawał się być zupełnie spokojny — rzekła. — Ale małe biedactwo jest jeszcze bardzo znerwowane.... Wczoraj znalazłam ją na krześle leżącą bez czucia.

— Brak jej ruchu — odrzekł ksiądz. — Nadto się odosabniasz i nie żyjesz jak wszyscy.

Zamilkł, nastała cisza. Musiał znaleść drogę, której szukał; ale chciał się namyślić, zanim przemówił. Wziął krzesło, usiadł obok Heleny i rzekł:

— Posłuchaj, moja córko, oddawna już chcę się rozmówić z tobą.... Życie, jakie tu prowadzisz, nie jest dobre. W twoim wieku nie można się tak zamykać; tak dla dziecięcia twego, jak i dla ciebie samej, odosobnienie takie złem jest... Niebezpiecznem tak dla zdrowia, jak i dla innych jeszcze względów...

Helena podniosła głowę, w oczach jej był wyraz zdziwienia.

— Co chcesz powiedzieć przez to, mój przyjacielu? — spytała.

— Mój Boże! mało znam świat — mówił dalej ksiądz z lekkiem zakłopotaniem — wiem jednak, że kobieta jest w nim bardzo narażona, jeżeli nie ma nad sobą opieki... Jednem słowem, jesteś nadto sama, i samotność w jakiej żyjesz nie jest zdrowa, wierz mi. Przyjdzie kiedyś dzień, a sama będziesz cierpiała nad tem.

— Ale ja się nie uskarzam, bardzo mi dobrze tak jak jest! — zawołała z pewną żywością.

Stary ksiądz powoli potrząsł wielką swą głową.

— Zapewne, bardzo to przyjemne. Czujesz się zupełnie szczęśliwa, rozumiem bardzo dobrze. Ale po tej drodze samotności i marzeń, człowiek sam nie wie, gdzie dojdzie.... Oh, znam cię, wiem, że nie możesz zbłądzić.... Ale prędzej czy później możesz utracić spokój. Mogłoby kiedyś stać się zapóźno i miejsce, które teraz w sobie i koło siebie zostawiasz pustem, mogłoby zająć jakieś uczucie boleśne, którego byś wyznać nie chciała już lub nie mogła.

Na twarz Heleny wystąpił rumieniec. A więc ksiądz czytał w jej sercu? A więc spostrzegł ten niepokój co wzmagał się w jej łonie, to wewnętrzne wzburzenie, które napełniało jej życie teraz, a którego źródła sama dotąd nie chciała dochodzić? Robota jej upadła na kolana. Jakaś niemoc ogarniała ją: spodziewała się, że ksiądz weźmie udział w tem badaniu, że pozwoli jej wyznać głośno i określić wyraźnie to, co nieokreślone jeszcze spoczywało w jej duszy. Ponieważ wiedział o wszystkiem, mógł ją pytać, będzie starała się odpowiedzieć mu.

— Składam losy moje w wasze ręce, przyjacielu — szepnęła. — Wiecie, żem wam zawsze była posłuszna.

Kapłan milczał przez chwilę, potem powoli, poważnie wyrzekł:

— Moja córko, trzeba, byś wyszła za mąż.

Helena oniemiała ze zdziwienia, w jakie ją wprawiły te słowa. Z opuszczonemi rękami czekała, co dalej powie, nie rozumiała go. Tymczasem ksiądz mówił dalej, usiłując dowodami skłonić ją do małżeństwa.

— Pamiętaj, żeś młoda jeszcze... Nie możesz tak żyć dalej w tym zakątku Paryża, nie śmiejąc prawie wyjść z domu i nie znając wcale życia. Trzeba, byś wróciła do zwyczajnego życia, bo inaczej gorzko pożałujesz kiedyś tego osamotnienia twego... Sama nie spostrzegasz wpływu, jaki wywiera już na tobie to zamknięcie się w sobie; ale przyjaciele twoi widzą twoją bladość i niepokoją się o ciebie.

Za każdem słowem zatrzymywał się, spodziewając się, że mu przerwie, i że będzie roztrząsała podany projekt. Ale nie, siedziała niema, jak gdyby skamieniała ze zdziwienia.

— Zapewne — masz dziecię—mówił jeszcze. To zawsze trochę utrudnia rzecz... Ale przyznaj sama, że nawet dla Joanny twojej ręka męska bardzo użyteczną byłaby... Oh, wiem, że trzebaby na to człowieka największej dobroci, coby był prawdziwym ojcem...

Nie dała mu dokończyć. Nagle i z nadzwyczajnym wstrętem przemówiła, buntując się.

— Nic, nic, nie chcę... Co mi radzisz przyjacielu!... Nigdy, rozumiesz, nigdy!

Oburzyła się cała, a zarazem przestraszyła gwałtowności swej. Wniosek księdza oświecił ten ciemny zakątek jej serca, w którym dotąd czytać nie śmiała; a ból, który uczuła przytem, wskazywał jej, jak głębokie korzenie zapuściło już w niem uczucie.

Pod jasnem, uśmiechniętem wejrzeniem starego kapłana zaczęła się bronić.

— Ależ ja nie chcę! ja nie kocham nikogo!

Lecz widząc wzrok jego wciąż w nią utkwiony, sądziła, że z twarzy jej wyczytuje kłamstwo; zaczerwieniła się i wyjąkała:

— Parę tygodni temu zaledwie zrzuciłam żałobę... Nie, to nie podobna...

— Moja córko — rzekł ksiądz spokojnie — długo myślałem, zanim przemówiłem. Sądzę, że od tego zależy szczęście twoje... Uspokój się. Zrobisz tak, jak ci się będzie podobało.

Rozmowa urwała się. Helena usiłowała powstrzymać się od zarzutów, które tłumnie cisnęły się jej na usta. Wzięła znowu robótkę w ręce i z pochyloną głową zrobiła w niej kilka ściegów. Wtem wśród ciszy dał się słyszeć z sali jadalnej cienki głosik Joanny:

— Trzeba konika do wózka... — Czyż nie umiesz robić koni?

— Oh, nie. Konie, to za trudno — odpowiedział pan Rambaud.—Ale, jeżeli chcesz, nauczę cię robić wozy.

Na tem się zwykle kończyła zabawa. Joanna z największą uwagą patrzyła, jak jej kochany składał papier w mnóstwo drobniutkich kwadracików; potem sama próbowała; nie udawało się jej, tupała wówczas nóżką. Łódki i infuły biskupie umiała już jednak robić.

— Patrz—powtarzał cierpliwie pan Rambaud, najprzód zrobisz cztery rogi tak, potem odwrócisz...

Od chwili już słuchał z natężeniem, musiał pochwycić słów kilka, które dochodziły z sąsiedniego pokoju; biedne ręce jego trzęsły się coraz bardziej, a język tak się plątał, że połykał połowę słów, które mówił.

Helena, która nie mogła się uspokoić, wróciła do rozmowy.

— Wyjść za mąż i za kogo? — nagle spytała księdza, kładąc robotę na stole. Macie kogoś na myśli, nieprawdaż?

Ksiądz Jouve powstał był i z wolna chodził po pokoju. Nie zatrzymując się, zrobił głową znak twierdzący.

— A więc! proszę mi wymienić osobę — rzekła.

Na chwilę stanął przed nią i potem lekko wzruszył ramionami i szepnął:

— Po co! — odmawiasz przecie?

— Mniejsza o to, chcę wiedzieć; nie mogę nic postanowić, jeżeli nie będę wiedziała.

Nie odpowiedział zaraz, i stojąc przed nią, patrzał na nią tylko. Smutny trochę uśmiech przemknął mu po ustach. Prawie zupełnie po cichu rzekł:

— Jakto! nie domyśliłaś się?

Nie, nie domyśliła się. Pytała i dziwiła się. Ksiądz ruchem głowy wskazywał tylko na salę jadalną.

— On?!... — zawołała, tłumiąc głos.

I zamyśliła się. Nie zaprzeczała już teraz gwałtownie. Na twarzy jej tylko był wyraz zadziwienia i troski. Długo siedziała zamyśloną z oczami spuszczonemi. Nie, z pewnością, nigdyby nie była odgadła; a jednak żadnego już teraz zarzutu zrobić nie mogła. Pan Rambaud był jedynym człowiekiem, w którego rękę złożyłaby uczciwie i bez żadnej obawy dłoń swoją. Znała dobroć jego i nie śmiała się wcale z mieszczańskiej jego niezgrabności. Pomimo jednak wielkiej

*

przyjaźni, jaką dla niego czuła, sama myśl, że ją kocha, przeszywała ją mrozem.

Tymczasem ksiądz znowu zaczął chodzić po pokoju; mijając drzwi, prowadzące do sali jadalnej, zatrzymał się przy nich i przywołał z cicha Helenę.

— Chodź, zobacz.

Wstała i popatrzyła.

Pan Rambaud usadowił Joannę na swojem krześle. Najprzód oparł się o stół, potem osunął do nóg dziewczynki. Ukląkł przed nią i jednem ramieniem swojem objął ją. Na stole leżał wózek, łódki, pudełka, czapki biskupie.

— A więc, kochasz mię bardzo?—mówił — powtórz, że mię bardzo kochasz.

— Ależ tak, kocham cię bardzo, wiesz o tem.

Wahał się i drżał, jak gdyby miał na myśli oświadczenie miłośne.

— A gdybym chciał pozostać tutaj na zawsze, z tobą, cóżbyś powiedziała na to?

— O, byłabym rada; bawilibyśmy się razem, nieprawdaż? to byłoby ślicznie!

— Na zawsze, rozumiesz, pozostałbym na zawsze.

Joanna trzymała w ręku jedną z łódek i chciała ją przerobić na kapelusz żandarma. Przerabiając paluszkami szeptała:

— Tak! ale trzeba, żeby mama pozwoliła na to.

Ta odpowiedź wróciła mu cały niepokój. Los jego rozstrzygał się.

— Zapewne, rzekł. Ale jeżeliby mama pozwoliła, ty nie powiesz nic, nieprawdaż?

Joanna, która kończyła swój kapelusz żandarma, zachwycona nim, zaczęła śpiewać po swojemu.

— Powiem tak, tak, tak... Powiem tak, tak, tak... Zobacz, jaki śliczny kapelusz!

Pan Rambaud, rozczulony do łez, wyprostował się i uścisnął ją; Joanna zarzuciła mu ręce na szyję. Bratu polecił prosić Helenę, a sam starał się uzyskać zezwolenie Joanny.

— Widzisz — rzekł ksiądz, uśmiechając się; — dziecię zgadza się chętnie.

Helena nie spierała się już — rozmyślała. Ksiądz wrócił do przedmiotu i wychwalał zalety pana Rambaud. Czyż nie byłby to prawdziwy ojciec dla Joanny? Znała go przecie i powierzając mu siebie, liczyłaby na pewność a nie na przypadek. Helena milczała, wówczas ksiądz z wielkiem wzruszeniem a zarazem godnością dodał, że jeżeli podjął się tego polecenia, to wcale nie przez wzgląd na swego brata, ale na jej szczęście.

— Wierzę wam, wiem, jak mię kochacie — żywo przerwała mu wówczas Helena. — Zaraz, przy was, odpowiem waszemu bratu.

Dziesiąta biła. Pan Rambaud wszedł do sypialnego pokoju. Helena podeszła ku niemu i wyciągając do niego rękę, rzekła:

— Dziękuję ci, przyjacielu, za twoją propozycyą, i bardzo ci wdzięczna jestem. Dobrześ zrobił, żeś powiedział...

Patrzyła na niego spokojnie i wielką rękę jego zatrzymała w swej dłoni. On, drżąc cały, nie śmiał podnieść oczu.

— Ale potrzebuję się namyślić — mówiła dalej. — Może nawet wiele czasu będę potrzebowała na to.

— O, ile zechcesz, pół roku, rok i więcej, — wyjąkał — szczęśliwy, że go natychmiast nie wygania od siebie.

Ona lekko się uśmiechnęła.

— Ale musimy i nadal pozostać przyjaciółmi. Będziesz przychodził do mnie jak zawsze; tylko musisz mi obiecać, że nie pierwiej wspomnisz o tem, aż ja sama zacznę mówić... Czy zgoda?

Usunął rękę swą i gorączkowo począł szukać kapelusza, na wszystko przystając kiwnięciem głowy tylko. Dopiero kiedy już miał wychodzić, odzyskał mowę.

— Posłuchaj — szepnął — teraz wiesz już, że zawsze jestem na rozkazy twoje, nieprawdaż? A więc powiedz sobie, że bądź co bądź zawsze pozostanę tem, czem jestem. Ksiądz to tylko powinien był wytłumaczyć ci... Za dziesięć lat, jeżeli zechcesz, dasz znak tylko, a usłucham cię.

Teraz on sam już wziął rękę Heleny i uścisnął ją tak, że ledwie nie zgniótł. Na schodach bracia obrócili się jak zawsze, mówiąc:

— Do wtorku.

— Tak, do wtorku — odpowiedziała młoda kobieta.

Kiedy weszła do pokoju, szum ulewy, która uderzała o żaluzye, zmartwił ją bardzo. Mój Boże! co za deszcz, jakże oni zmokną! Otworzyła okno i spojrzała na ulicę. Gazowy płomień latarni drżał i poruszał się silnie od nagłych uderzeń wichru. Wśród strumieni deszczu ujrzała zaokrąglone plecy pana Rambaud, który szedł szczęśliwy, tańcząc w ciemności i nie dbając wcale o ulewę.

Joanna posłyszawszy ostatnie słowa swego kochanego, spoważniała nagle. Po wyjściu braci rozebrała się; zdjęła była właśnie buciczki swoje i siedząc w koszulce na brzegu łóżeczka, głęboko zamyśliła się, kiedy Helena weszła na to i znalazła ją w takiej postawie.

— Dobrej nocy, Joanno. Pocałuj mię.

Dziecię zdawało się nie słyszeć; Helena pochyliła się przed nią i objęła ją wpół. I spytała półgłosem:

— Rada byłabyś, żeby zamieszkał z nami?

Joanna nie okazała zdziwienia. Musiała właśnie myśleć o tem. Powoli potwierdziła głową.

— Ale wiesz — mówiła dalej matka — byłby tu zawsze: w nocy, we dnie, u stołu, wszędzie.

Wyraz niepokoju wzmagał się w błyszczących oczach dziewczynki. Oparła twarzyczkę o ramię matki, ucałowała jej szyję i drżąc cała, spytała na ucho:

— Mamo, czy on by cię całował?

Różowa łuna pokryła czoło Heleny. Zrazu nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na to pytanie dziecięce. Wreszcie wyszeptała:

— Byłby jak twój ojciec, kochanko.

Małe rączki Joanny wyprężyły się; gwałtownem wybuchła łkaniem, które przerywała, jąkając:

— O nie, nie chcę... O, mamo, proszę cię, powiedz mu, że nie chcę, idź mu powiedzieć, że ja nie chcę...

Rzuciła się na pierś matki, oblewała ją łzami i pocałunkami obsypywała. Helena starała się uspokoić ją, powtarzając, że to się da załatwić. Ale Joanna pragnęła koniecznie stanowczej odpowiedzi.

— Powiedz, że nie, mateczko, powiedz: nie... Widzisz, że inaczej umrę... Nigdy! nieprawdaż? nigdy!

— Dobrze! niech będzie: nie, obiecuję ci; bądźże grzeczna, połóż się.

Czas jakiś jeszcze dziewczynka, milcząca i wzruszona, ściskała ją rączkami, jak gdyby nie mogąc się oderwać od niej i broniąc od tych, którzy chcieli ją zabrać. Nakoniec Helena położyła ją; ale część nocy musiała czuwać przy niej. Rzucała się we śnie i co pół godziny otwierała oczy, chcąc się zapewnić, czy matka przy niej, potem zasypiała, przyciskając usta do jej ręki.

(C. d. n.)

WYCIECZKA NA ZJAZD PEDAGOGICZNY

DO NOWEGO SĄCZA.

(*Dokończenie*).

Piękną pogodą po nocnej burzy, powitała nas sobota. Nadzieja rośnie, że będzie można nazajutrz puścić się w Tatry. Ożywieni tą nadzieją, rozweseleni pogodą, zgromadzamy się na trzecie i ostatnie posiedzenie, na które przybył starosta sandecki br. Lewartowski, w charakterze komisarza rządowego. Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia, następują niektóre sprostowania, które podają dr. Benoni i p. Duchowicz. P. Trzaskowski wnosi, aby sekretarze nadal nie spisywali zbyt obszernych protokołów. Po załatwieniu tych uwag. wnosi prezes, aby zgromadzenie przez powstanie podziękowało hr. Stadnickiemu za wczorajsze przyjęcie, co też jednomyślnie z przyjemnością uczyniono.

Po złożeniu sprawy z posiedzeń sekcyi, przystąpiono do wyboru naszego zarządu, przyczem krzesło prezydalne zajmuje dr. Klemensiewicz. dyrektor gimnazyum Nowosądeckiego. Na 259 głosujących zostaje jednogłośnie obrany prezesem p. Sawczyński, wiceprezesem dr. Gerstman również jednogłośnie. Członkami zarządu głównego obrani zostali p. Baranowski, dr. Benoni, Kuryłowicz, Makowski, Starkel i Tatomir jednogłośnie, zaś pp. Żwierkowski, Dziedzicki, Hahn, Jan Dobrzański, dr. Józef Żuliński i Fedorowicz, znaczną większością głosów.

Po dokonanych wyborach, referuje dr. *Anatol Lewicki* w sprawie ogródków freblowskich. Uzasadniał wywody swoje w sposób prawdziwie świetny co do treści i formy, występując energicznie przeciwko ogródkom jako instytucyi wcale bezpożytecznej, a nawet szkodliwej. Po przytoczeniu wszystkich motywów i wyczerpaniu argumentów, kończy referent rzecz swoją wniesieniem następującej rezolucyi. „Ogródki froeblowskie są tylko dobrze zorganizowanemi ochronkami dla tego należy posyłać do nich tylko dzieci zaniedbane, nie mające należytej opieki, lub narażone na zgorszenie w domu. Dzieci żyjące w prawidłowych stosunkach domowych, powinny być wychowywane wyłącznie w domu i przez samych rodziców. Pożądanem jest tylko, aby się rodzice z systemem froeblowskim zaznajamiali.“

Referat dr. Lewickiego dał powód do długiej i nader ożywionej dyskusyi. Najpierw zabiera głos panna *Zielonczanka*, kierowniczka ogródka we Lwowie. Jak lwica w obronie swego gniazda, stanęła zasłużona ogrodniczka z zapałem w obronie ogródków. Zbijała wszystkie zarzuty dr. Lewickiego z ciepłem matki broniącej swego dziecka. P. *Baranowski* zgadza się w wielu względach z dr. Lewickim, ale nie może wstrzymać się od uwagi, iż rodzaj wychowania i wykształcenia, jakie w znacznej części kobiety nasze otrzymują, nie kwalifikuje je do tego, aby mogły zupełnie dobrze wychowywać dzieci. Dr. *Zgórski* oświadcza się stanowczo przeciw ogródkom, oświadczając, że gdyby miał żonę, któraby dzieci sama wychowywać nie chciała lub nie umiała, usunąłby się od niej, bo kobieta taka byłaby niegodną stanowiska żony i matki. Zapomniał tu widać dr. Zgórski o tem, że żona niejedna, mimo że chce i umie, *nie może* wychowywać dzieci. Dr. *Żuliński* nie zgadza się we wszystkiem z prelegentem, ale rezolucya trafia do jego przekonania. Stosownie bardzo uczynił p. *Jabłoński*, dyrektor semin. żeńsk. w Krakowie, że wytłumaczył różnicę między ogródkami i ochronkami, bo zgromadzenie prawdziwie obałamucone było w tym względzie głosami mowców, którzy mówili o jednych i o drugich, nie czyniąc między niemi różnicy. Dyr. *Trzaskowski* nie uważa ogródków za rzecz *zupełnie dobrą*, ale za potrzebną, a nawet konieczną. Dr. *Strzelecki* profesor politechniki lwowskiej, łagodzi skrajne zapatrywania, zbliża je i sądzi, że można przyznać słuszność i jednym i drugim, bez ubliżenia logice. Cała rzecz zależy od tego, gdzie się ogródek znajduje i jak jest prowadzony. Prezes *Sawczyński* wytoczył teraz silną bateryą świetnych argumentów i znakomitej wymowy

na zniszczenie ogródków. Skutek był osiągnięty, rezolucyą dr. *Lewickiego* zgromadzenie przyjęło.

Autor „Tygodnia lwowskiego" ucieszył się bardzo tą uchwałą. Mnie się zdaje, że przeciwnicy ogródków na mylnym stanęli gruncie, biorąc za jedno wykonanie systemu Froebla, w wielu ogródkach błędne i spaczone, z samym systemem. O Froeblowskich ogródkach była rzecz w „Tygodniu" (T. I z r. 1874 5 str. 153 i dalsze), a ponieważ sprawa wytoczona przed forum całego kraju, zastrzegam sobie głos w „Tygodniu"*), chociaż może nie po myśli autora „Tygodnia lwowskiego". Na dyskusyi ani czytelnicy, ani redakcya nie stracą, bo sprawa tak ważna, iż zająć się nią godzi dokładnie.

Po ukończeniu tej żywej, ognistej nawet dyskusyi, ustępuje dr. Klemensiewicz prezydyalnego krzesła p. Sawczyńskiemu, który z rozrzewnieniem dziękuje za dowody okazanego mu zaufania i wybór jednomyślny.

Komisya lustracyjna zdaje sprawę ze swoich czynności. Podziękowano pp. *Makowskiemu* i dr. *Zgórskiemu*, za gorliwe, wzorowe prowadzenie kasy i rachunków. Obok tego załatwiono kilka spraw administracyjnych.

Pan *Baranowski* zdaje sprawę z posiedzenia dyrektorów szkół żeńskich. Dodać tu muszę, że do tej ankiety wybrano jeszcze p. *Jabłońskiego* dyrektora sem. żeńsk. w Krakowie i p. *Stefanię Wechslerową* naucz. sem. żeńsk. we Lwowie. Zastanawiano się nad pożytkiem szkół żeńskich przez Tow. utrzymywanych i nad dalszym ich rozwojem, a po wyczerpującej dyskusyi uchwalono rezolucyą, którą obecnie zgromadzenie w całości przyjmuje. Treścią tej rezolucyi jest, iż Towarzystwo wszelkiemi siłami dążyć winno do ułatwiania kobietom gruntownego wykształcenia, a to przez dalsze utrzymywanie i zakładanie szkół takich, jak dzisiejsze szkoły Towarzystwa, tudzież, gdzie tego stosunki wymagają, przez zakładanie dwuletnich kursów edukacyjnych, czyli kolegiów, któreby miały na celu służyć dojrzalszej młodzieży żeńskiej, przez uzupełnianie jej wykształcenia nabytego bądź w pensyonatach prywatnych, bądź w szkołach wydziałowych.

Po odczytaniu i podpisaniu protokułów, to trzecie i ostatnie posiedzenie zamknięto. W serdecznych słowach podziękował prezes wszystkim, co ułatwili zjazd XII w Sączu, a to kolejom za gotowość w chętnem zniżeniu cen jazdy, mieszkańcom miasta, za gościnne, poczciwe przyjęcie, komendom wojskowym za wypożyczenie pościeli i t. d.

Zapomniałem nadmienić poprzednio, że w sekcyi szkół średnich bardzo energicznie i dosadnie podnoszono myśl zniesienia podziału tych szkół na gimnazya i szkoły realne, tudzież zastanawiano się nad usunięciem przeciążenia uczniów. Nic pewniejszego nad to, że dzisiejsze rozdwojenie szkół średnich, jest i szkodliwe i bezzasadne. Szkodliwe już z tego tylko powodu, że trudno orzekać o dziecku 10 letniem, czy będzie miało talent do techniki, lub zawodów humanitarnych. To też często marnuje się młodzież oddana do szkoły realnej, a nie mająca w tym kierunku zdolności, gdy w gimnazyum byłaby się mogła pożytecznie kształcić. Bezzasadnym jest ten podział, bo dowiedzioną jest rzeczą, iż uczniowie gimnazyalni, którzy się udają na technikę, przewyższają wykształceniem i uzdolnieniem kolegów swych ze szkół realnych.

* * *

Otóż i koniec pracy trzechdniowej. Zaledwie najogólniejszy szkic podałem wam w tych notatkach. Niepodobna rozprawić się dokładnie ze wszystkiemi czynnościami zjazdu, trudno nawet wszystkie jego prace bodaj tylko zanotować. Pracowano pilnie, gorliwie; uchwalono wiele rzeczy pożytecznych, doniosłego znaczenia dla szkolnictwa i oświaty. Wzniosłe prawdziwie myśli, głębokie poglądy, wykrzesywały się z dyskusyi, i ożywiały zgromadzenie. Korzyść zbliżenia się wzajemnego nauczycieli różnych kategoryi, ogromna. Poznają się i uzupełniają wzajem nauczyciele szkół ludowych i średnich, kształcą się i pobudzają do pracy nowozaciężni, a odmładzają weterani. Słowem znaczenie zjazdu wielkie, praca sumienna, pożytek ogromny.

Po 4ej znaleźli się wszyscy na korytarzu gimnazyalnym, zamienionym w olbrzymią salę biesiadną. Blisko 500 osób zasiadło do uczty, wyprawionej dla członków zjazdu kosztem miasta. Oczywista rzecz, że musiały być i były toasty. Burmistrz dr. *Olszewski* wzniósł toast na cześć cesarza, dr. *Klemensiewicz* jako prezes oddziału sandeckiego Tow. pedag. na cześć członków, przybyłych do Sącza w gościnę, dyr. *Trzaskowski* na cześć kobiet, biorąc asumpt z energicznej obrony ogródków froeblowskich, z jaką wystąpiła na posiedzeniu pani Zielonczanka. Inspektor *Baranowski* na cześć miasta i ziemi sandeckiej, p. *Kuryłowicz* wzniósł toast na cześć pozostałych w domu Rusinów, będąc — jak się wyraził — „Rusinem matki Polki, i Polakiem ojca Rusina." P. *Jan Lewicki*, będąc—jak mówił — Polakiem z ojca i matki Rusinki, wzniósł toast na zgodę i jedność. P. dr. *Zgórski* wzniósł zdrowie zakordonowych kolegów i rodaków, p. *Pieniążek* wzniósł pozdrowienie z nad Dniestru i Stryja wszystkim pracownikom tu zebranym, a przedewszystkiem tym, co mu przewodzą i są przykładem i zachętą, czyli prezesowi i członkom zarządu głównego. P. *Sawczyński* w pięknej, długiej mowie „sprowadzał do wspólnego mianownika" toasty, łącząc wszystkie myśli wypowiedziane pod godłem miłości kraju, zgody obywatelskiej i zamiłowania w pracy. Dr. *Strzelecki* zakończył toastem „kochajmy się." Ot i uczta skończona.

Wszystkim toastom towarzyszyły wystrzały z moździerzy i grzmiące oklaski.

Po uczcie potworzyły się gromadki i rozprószyły na przechadzkach i wycieczkach, a w niedzielę od 6ej rano, pędzi wózek za wózkiem do dworca kolei. Ruch ogromny, gwar, ścisk.

Niedawno mówiliśmy sobie: „witajcie" — i już „żegnać" się trzeba. Większa część zjazdu udała się pod wodzą dyr. Trzaskowskiego w Pieniny i Tatry, mniejsza część wraca w domowe ogniska, chociaż wszystko rwie ją ku górom „gdzie swoboda czeka," ale obowiązki silniejsze, więc bądźcie zdrowi bracia w pracy serdeczni. Do widzenia na rok drugi, kto dożyje, doczeka.

P.

*) Bardzo prosimy. *Przyp. Red.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. sierpnia.

Doprawdy żenującem jest dla kronikarza i dla pani Aury galicyjskiej zaczynać sprawozdanie tygodniowe od deszczu, który jak długa i szeroka kraina nasza leje sobie przez całe siedm dni z rzędu. Skutki takiego deszczu mogą bardzo dotkliwie oddziałać na przyszłe losy naszej wewnętrznej i zewnętrznej polityki, na literaturę, handel, sztuki piękne i niepiękne, słowem na cały proces umysłowy mózgów galicyjskich. Wiadomo, że wielka wilgoć przy odpowiednio dusznej atmosferze, jaka obecnie ma miejsce, wydobywa wszystko znajdujące się w ziemi nawet w kilko-łokciowej głębokości. Z tej przyczyny i przyjaciel mój, który już trzy żony pochował, chodzi jak struty z obawy, czy szanowne połowice jego pobudzone tak energiczną wegetacyą, nie zechcą wydostać się na powierzchnią. A wtedy bywaj zdrów z adoracyą damskiej orkiestry, która zachęcona artystycznem powodzeniem na górze Wysokiego Zamku, raczyła zejść w niziny Jagielońskiej ulicy, i tam własnemi siłami ulokować się w dawniejszym ogródku Sztengla. Nie miałem jeszcze czasu dowiedzieć się, jak te damy odgrywają tam swoje sztuki nawet znaczywszy cenę wejścia po guldenie, wiem tylko z niebieskich afiszów, że bardzo serdecznie zapraszają tam swoich muzykalnych adoratorów zapewne niemieckiego tylko pochodzenia.

Moje perswazye i żarciki co do owego przyjaciela, obawiającego się potrójnego zmartwychwstania małżonek, straciły moc wszelką od chwili jak się dowiedział, że we wsi Michałkowie niedaleko Mielnicy nad Dniestem, wskutek tej właśnie ulewy, na wierzch wylazły przed tysiącami lat zakopane skarby, o których istnieniu w biednej Galicyi nikt nie myślał. A jednak jest to fakt, że potok wpadający do Dniestru oberwawszy kawałek brzegu, odkrył przed oczami pastuszka te skarby, które on i jego matka wzięli za mosiądz, żądając od żyda miejscowego za cały fartuch tych fatałaszek tylko 8 guldenów. Lecz w tym wypadku i żydzi wszystko wiedzący, nie poznali się na wartości metalu, ofiarując 50 centów za rzecz dziś ocenioną na sześć tysięcy guldenów, bez względu na wartość archeologiczną tej uklepanej młotkiem ze szczerego złota korony, spinek, bransoletek, paciorków i innych ozdób starożytnych. A proszę was, czyja w tem wina i kogo do odpowiedzialności za tę nieświadomość pociągnąć? Zdaje się nikogo więcej tylko jego excelencyą ministra finansów, który tak skąpo dysponuje złotą monetą w Austryi, że u nas już zatraciło się pojęcie, jak to złoto wyglądać może! Muzeum przemysłowe wystawiło ten skarb do obejrzenia w swej sali, lecz już z daleko gruntowniejszą świadomością wartości bilonu austryackiego, bo za samo nasycenie wzroku temi skarbami nałożyło na każdą parę oczy 50 centów. Być może znajdzie się w Lwowie tyle zamożnych indywiduów, że zdobędą się na taki wydatek i pójdą obejrzeć, lecz gdy w parafii waszego sprawozdawcy sam ksiądz plebam dzwoni, raczą poczekać czytelnicy na opis szczegółowy tych skarbów, aż Muzeum zniży cenę do dziesięciu centów. Wyobrażam sobie, co się tam musi dziać archeologom, gdy o tem się dowiedzieli.... korona z czasów przedchrześciańskich.... strach, jaki panować musi ruch po wszystkich gabinetach, jaka zazdrość, że p. hr. Włodzimierz Dzieduszycki wszystkich uprzedził....

Śledząc dalej w analogiczny sposób skutki niepomiernej wilgoci, dochodzimy do rezultatu, że w tym roku grzyby obrodzić powinny, i że cała Galicya w obec zagrażającej ruiny finansowej, będzie mogła poratować tę sytuacyą udając się do lasów na grzyby. Zboże gnije na polach, kredyt prócz dla cenzorów Narodowego Banku podupadł, kwestya wschodnia, na którą tyle sobie rachowaliśmy, dzięki interwencyi Bismarka pokojowo załatwiona; cóż więc nam zawiedzionym na wszystkich punktach zostaje do zrobienia? Nic, tylko zapakowawszy do sakwy na pierwsze potrzeby wielką politykę z małem i wielkiem kołem naszej delegacyi, ze wszystkiemi swarami dziennikarskiemi, memoryałami, expozami, protestami — pójść całą gromadą na grzyby. Zaręczam szanownym czytelnikom, że przy tak pokojowej okupacyi nie spotkamy żadnej ani otwartej, ani ukrytej opozycyi, ani Maglaja, ani Jaica, i że gdy nam już przyjdzie ochota wieszania kogo bądź, to bez doraźnych sądów zrobimy sobie w celach cywilnych tę satysfakcyą na prawdziwych ale tylko prawdziwych grzybach, jako jedynie kwalifikujących się do dłuższego konserwowania.

Dalej, jeżeli Bóg dobrotliwy ma nas w tym roku obdarzyć grzybami, nie od rzeczy będzie dodać, że parna wegetacya bardzo zbawiennie oddziaływa na wzrost grzybowej literatury. Nowi powieściopisarze jeszcze łatwiej wyłażą na drukowaną arenę od samych grzybów w rodzaju mucharów, bedłek, smardzy i innych krótko trwałych istot najniższej organizacyi. Czytaliśmy w tych dniach w jednem z pism tygodniowych lwowskich bardzo energicznie napisaną filipikę na kobiety, z której po zacytowaniu różnych opinii starożytnych pisarzy, dowiedzieliśmy się, że kobiety są zgnilizną publiczną rodu ludzkiego, osobami zdolnemi tylko do tak drobnostkowych uczuć jak miłość rodziny i ojczyzny, istotami mającemi na wagę większą masę niż mężczyźni,

a zatem więcej od mężczyzn materyalistycznemi... Powiedziano tam, że kobiety wogóle sprzedają się mężczyznom idąc za mąż dla interesu... Proszę was szanowni czytelnicy co na to odpowiedzieć? chyba zwątpić o zdrowym zmyśle autora, filozofa i pogromcy naszych matek, żon, sióstr i córek, którym ten szermierz pustych frazesów pragnie ubliżyć... Jeżeli kobiety wogóle mają większą proporcyonalnie wagę — to sądząc po skutkach mózg szanownego autora musi być zupełnie bez wagi, inaczej nie rzucałby w świat tak bezloicznych i bezsensowych absurdów... Oto są skutki zbytecznej wilgoci w powietrzu!

Festyny się nie udają: Gwiazda nie mogła skojarzyć tańcującej zabawy w lasku za Łyczakowską rogatką, artyści teatru nie mogli w niedzielę pozbyć się krowy przez losowanie, a kronikę lwowską codzienne pisma tutejsze zapełniają tylko wypadkami o rozmaitych kradzieżach i łowieniu podejrzanych o tę zbrodniczą działalność indywiduów. Dzięki nieustannym deszczom po kilka razy na dzień mamy przynajmniej ulice oczyszczone i jakoś bezpieczniej oddychać możemy, nie mając przed sobą pyłu od mioteł zamiataczy magistrackich i długich sukien dam naszych, które zmuszone są sztucznymi haczykami podtrzymywać. Okoliczność ta przywodzi nam na pamięć owego niewstrzemięźliwego żarłoka, który wiedząc ile mu szkodzi obżarstwo, jednocześnie jadł i zażywał lekarstwa. Czyż panie nasze wiedząc że suknie długie włócząc się po ulicy muszą ulegać zniszczeniu — nie mogłyby zamiast sztucznego podtrzymywania, krajać cokolwiek krótsze, a skutek byłby jeden i ten sam w użyciu.

Mamy zapowiedzianą na 1. września wystawę Towarzystwa sztuk pięknych i powrót teatru z Warszawy, który podobno zawiódł oczekiwania eldoradowe i tych co tam grali i tych co tam uczęszczali — liczymy więc że ożywi się trochę nasze miasteczko, bo rzeczywiście już tęskno jest za teatrem, który staje się koniecznością życia ucywilizowanej społeczności, podobnie jak dobry obiad i dobre cygaro.

W końcu wypada nam zwrócić uwagę publiczności na nowy rodzaj propagandy moskwicyzmu, który fabrykant zapałek w Czechach do nas wprowadza. Na pudełkach mieszczących te ogniodawcze drewienka obok portretów jenerała Ignatiewa i innych tego rodzaju bohaterów wydrukowany jest sławny hymn moskiewski „Boże cara chrani“ i napis „że zapałki te wspólne są wszystkim słowianom“. Przyznacie czytelnicy, że tego cokolwiek za wiele, dla tego proponujemy bardzo łatwy sposób ukarania lwowskiego śmiałka, który je tu z Czech sprowadził, to jest nie narzucanie mu się z kupnem tak patryotycznych zapałek.

Jest to drobnostka, lecz nie bez znaczenia, dlatego liczymy, że publiczność nasza potrafi dotrzymać słowa, nie używając zapałek z moskiewskimi napisami.

* * *

Z Krakowa wystosowali akademicy tamtejsi następujące pismo:

„Szanowny panie redaktorze! Pozwól, że za pośrednictwem twego organu zaniesiemy protestacyą przeciw wydaleniu z naszego grona kolegi Michała Wołowskiego.

„Postępek p. Zyblikiewicza, który z powodu osobistej urazy nie wahał się dla niskiej zemsty zniweczyć całą naukowa przyszłość naszego kolegi, a jego rodzinę wraz z nim skazać na nędzę i wygnanie, tembardziej uczuliśmy, o ile przez kilkoletnie z nim obcowanie mieliśmy sposobność poznać w nim dobrego Polaka, człowieka zacnych zasad, uczciwego kolegę, serdecznego przyjaciela.

„Są fakta tak ciemne, że czarnych barw na odmalowanie ich nie staje. Faktem tym jest wydalenie Wołowskiego, skorzystano bowiem z wyjątkowego jego położenia, z którego bronić się nie mógł, a więc po cichu wymierzono nań cios z za węgła.

„Przyszły dziejopis naszego porozbiorowego żywota, z boleścią fakt ten zapisze jako objaw moralnej korupcyi jednostek, dzierżących chwilowo władzę i używających jej nie na dobro rodaków, ale na ich szkodę.

„Kiedy Niemcy mimo miłości do swego monarchy, wstydzą się niecnej denuncyacyi malarza Pilottiego, z jakimże wstydem nam przychodzi wspominać o pełnym zgrozy postępku p. Zyblikiewicza! Mimo wewnętrznej boleści, czynimy to jednak, obawiając się, aby ktokolwiek nie pomyślał, że młodzież polska, że wychowańcy uniwersytetu Jagiellońskiego, że koledzy pozbawionego prawa przebywania na ojczystej ziemi Michała Wołowskiego, ze spokojem spoglądają na to zranienie ich uczuć narodowych.

„Upraszamy redakcye wszystkich uczciwych pism polskich o powtórzenie naszej protestacyi.

„Uczniowie wydziału lekarskiego na uniwersytecie Jagiellońskim: Morawski Mateusz, Laskowski Ryszard, Słomka Tadeusz, Prochaska Teofil, Nawrat Stanisław, Jakliński Leon, Mildner Józef.“

Z prawdziwą przyjemnością witamy ten objaw poczucia obywatelskich obowiązków młodzieży krakowskiej i nie wątpimy, że głos jej podziela cała młodzież polska.

Wkrótce zobaczymy co powiedzą koledzy p. Zyblikiewicza i z jakiem czołem przestąpi on próg sali sejmowej

* * *

Dr. Bolesław Limanowski otrzymał nakaz opuszczenia kraju w ciągu dni dziesięciu. Zdziwi to zapewne każdego, kto zna p. Limanowskiego, jego cichy i łagodny charakter, jego zupełne oddanie się pracy naukowej, jego gołębią, że tak powiemy, niewinność, dla czego temu uczonemu nie dają spokojnie pracować w kraju i cieszyć się rodzinnem powietrzem, wychowywać dzieci w ojczyźnie.

Dr. Limanowski już był w roku zeszłym więzionym kilka miesięcy, ku powszechnemu zdumieniu Lwowian, następnie sąd nie znalazłszy żadnej winy zawyrokował uwolnienie. Chmura jednak, która wówczas zaćmiła horyzont ich spokojnego życia nie przeszła, bo oto po uniewinnieniu sądowem otrzymuje nakaz przymusowego wyjazdu. Nic się nie dzieje bez przyczyny, więc i tu musiała być jakaś i była rzeczywiście. Zdarzyło się, że przejeżdżający ze Szwajcaryi do Petersburga p. Kuturnicki, dostawszy gdzieś adres Limanowskiego we Lwowie, wstąpił do niego i był na herbacie. Ta szkalnka herbaty stała się powodem nieszczęść Limanowskiego, pani W. Limanowskiej i dwojga maluteńkich ich dziatek.

Szklanka herbaty! wykrzyknie kto może, alež to nie podobna! tak, przewinienie niezbyt wielkie, zwłaszcza, że i p. Kuturnicki jest zacnym człowiekiem, ale jak dla *Polaka* to i takie wystarczy. Za mniejsze ludzie szli na szubienicę.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Dribna biblioteka* I. Powisty Erkmana-Chatriana, pereklau Roman Rozmaryn 8ka, str. 61. Lwów 1878. 15 ct.

— *Dwanaście nowenn,* na cześć najświętszej Panny Wyd. drugie. 16. str. 66. Pelpin i Giertrzwałd 1878. 20 ct.

— *Echaust ks. Julian.* Rozkłady do kazań na niedzielę i święta całego roku. Tom II. Niedziele po Bożem narodzeniu i śś. Trzech królach. 8ka, str. 416. Pelplin 1878. 2.60

— *Jenkowski ks. H.* Rozważ to dobrze. Myśli zbawienne dla dobrych i złych. Wyd. drugie. 8ka, str. 132. Pelplin 1878. 30 ct.

— *Koszutski ks. Hilary.* Żywoty św. sług. Oddział II. 8ka, str. 254. Pelplin 1878. 78 ct.

— *Le congrès* et la question polonaise. 8ka, str. 15. Poznań 1878. 65 ct.

— *Objawienie* Najśw. Maryi Panny w Giertrzwałdzie 8ka, str. 48. Pelplin-Giertrzwałd 1878 20 ct.

— *Podręcznik obrzędów* używanych w czasie wielkiego tygodnia 8ka str. 32 Pelplin-Giertrzwałd 1878. 13 ct.

— *Ségur Gaston de L. X.* O najświętszem sercu Jezusowem. 8ka str. 198. Pelplin 1878. 65 ct.

— *Stowe Beecher.* Kajdany z lilii i róż. Powieść z ang. 8ka str. 149 Poznań 1870. 1·30 ct.

— *Turgeniew. J.* Nowiny. 8ka str. 275. Poznań 1878. 1·95 ct.

— *Zaleski Bronisław.* (Ksiądz) Hieronim Kajsiewicz (wyciągi z listów i notatek zmarłego) 1812 do 1873) z portretem. 8ka str. 278. Poznań 1878. 1·65 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Sierpniowy zeszyt pisma warszawskiego *Ateneum* zawiera: 1) O krytyce. napisał F. K.; 2) Powódź, powieść Fryderyka Spielhagena, w skróceniu opowiedziana przez Wincentę Limanowską; 3) Pamflet Falkenberga, ustęp z dziejów krzyżacko-polskich, przez Michała Chylińskiego; 4) Myśl w czynie, studyum psychologiczne nad pracą, przez Józefa Deskura; 5) Dwie elekcye przez St. Ł. (Stosława Łagunę); 6) W kwestyi taryfy przewozowej na kolejach żelaznych; 7) Sztuka na wystawie powszechnej w Paryżu; 8) Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wnioski przez stowarzyszonych na wyborach do dyrekcyi głównej przedstawione, przez R. A. 9) Ogłoszenia.

*** W wydawnictwie komisyi historycznej Akademii umiej. w Krakowie wyszedł z druku tom IV. „Pomników dziejowych wieków średnich“ zawierający: „Najstarsze księgi i rachunki m. Krakowa od roku 1300 do 1400.“

*** Wydawnictwo jubileuszowe J. I. Kraszewskiego, według „Tygodnika powszechnego,“ dosięgnęło już poważnej cyfry 12.000 prenumeratorów!

*** Antoni Edward Odyniec bawi obecnie w Lublinie, gdzie go z wielkiemi owacyami przyjmują.

*** Muzeum w Londynie pozyskało egzemplarz wielkiej chińskiej encyklopedyi, ogłoszonej w XVII wieku, za panowania cesarza Kunghi, dzieło rzeczone jest unikatem w Europie, a wielką rzadkością w Chinach.

*** Finlandczycy posłali na wystawę paryską zbiór okazów swej prasy peryodycznej. Do kolekcyi dołączono odpowiedni, w języku francuskim zredagowany przegląd, zamykający w sobie statystyczne dane, odnoszące się do fińskich czasopism. Interesująca ta broszura zawiera w sobie spis wszystkich wydawnictw peryodycznych, określa ich charakter, dążności, treść, miejsce, gdzie się wydają, liczbę prenumeratorów, nazwiska redaktorów i rok w którym każde wychodzić zaczęło. Dalej broszura podaje historyczny rzut oka na działalność prasy finlandzkiej od 1820 roku, dowiadujemy się ztąd: że w Finlandyi wychodzi pod obecną porę 54 czasopism, z których 30 w języku finlandzkim, a 24 w szwedzkim; z tych 22 wydaje się w Helsingforsie, 32 w innych miastach. Cena prenumeracyjna jednego egzemplarza wszystkich tych

pism wynosi rocznie 341 marek i 30 pensów. Liczba egzemplarzy czasopism wypuszczanych w ciągu roku dochodzi do poważnej cyfry 88,500.000.

*** Krakowskie Towarzystwo Sztuk pięknych daje w tym roku członkom swoim, jako premium, rycinę chromolitografowaną, wykonaną u Lemerciera w Paryżu, przedstawiającą „Stanisława Rewerę Potockiego.“ Nakład kosztował 15.400 franków.

Szkoły.

*** „Nowoje Wremia“ komunikuje wiadomość, iż na początku roku bieżącego było w gubernii mińskiej wszystkich zakładów naukowych 748, w których kształciło się 19.234 dzieci płci męskiej i 2.478 płci żeńskiej, razem 21.712 wychowańców i wychowanic. Wiejskich szkółek było 286 i przy nich 160 oddziałów dla płci obojej; liczba uczących się chłopców dochodziła do cyfry 13.854, dziewczynek do 933. Podług tych danych przypada w owej gubernii jeden uczący się na 75 głów ludności wiejskiej.

*** W Ameryce rząd i społeczeństwo zwraca wielką uwagę na wykształcenie kobiet. W obecnym czasie we wszystkich szkołach w Stanach Zjednoczonych rozpoczęły się egzamina roczne, z powodu których gazety przytaczają bardzo wiele interesujących szczegółów o amerykańskich zakładach naukowych.

Najszerzej rozpisują się o „Wellesley College.“ O uniwersytecie tym gazeta „New-York Herald“ przytacza następujące szczegóły:

Uniwersytet ten założył w r. 1875 pewien uczony prawnik, Henryk Durant, który obecnie usunął się już od kierownictwa. Zakład poświęcony jest wyłącznie wyższemu ukształceniu kobiet. W obecnej chwili uczęszcza do niego 323 studentek ze wszystkich miejscowości rzeczypospolitej amerykańskiej, a także z Indyj, Chin, Turcyi, Chili i z innych odległych państw.

Gmach uniwersytetu wznosi się na pagórku, naprzeciw jeziora Bowan, w mieście Weleslley, o 16 mil od Bostonu.

Szczególniejszą uwagę zarząd zwraca na fakultet nauk ścisłych.

Podług sprawozdania rocznego, w oddziale chemicznym znajduje się 70 wychowanic, które same zajmują się doświadczeniami w laboratoryach uniwersyteckich.

Toż samo jest i w oddziale fizycznym. Zamiast przestarzałej metody, podług której profesor osobiście wykonywa doświadczenia, trzymają się tam tej zasady, że uczennice powinny same czynić doświadczenia, pod kierunkiem nauczycieli.

Dla dokonania doświadczeń z elektrycznością i magnetyzmem przeznaczone jest obszerne pomieszczenie, i część laboratoryów dla innych gałęzi nauk przyrodniczych. Kolekcya mikroskopów szczególniej zasługuje na uwagę. Oprócz tego, uczennice mają bibliotekę złożoną z dzieł, odnoszących się wyłącznie do badań mikroskopowych. Uczą się one używania mikroskopów w zastosowaniu do botaniki, mineralogii i fizyki.

Sale urządzone są w ten sposób, że w jednej chwili może ogarnąć je ciemność, jeżeli tego naukowa potrzeba wymaga.

Wkrótce w uniwersytecie rozpocznie się wykład biologii.

Język grecki stanowi jeden z najważniejszych przedmiotów wykładu w., Wellesley College.“ Studentki, które odznaczają się postępami w tej nauce, otrzymują nagrody 250 i 100 dolarów.

Biblioteka składa się z 15.000 tomów.

ROZMAITOŚCI.

*** Na morzu... mimo chęci!

„W fatalnem położeniu znalazła się znaczna część gości kąpielowych w nadmorskim Kołobrzegu; pisząca te słowa podzielała, niestety! wspólną niedolę.

W pobliżu portu stoi obecnie na kotwicy jedna z największych fregat, na pełnem, otwartem morzu, bo potężny kolos opancerzony i uzbrojony, a więc i ciężki nad miarę, nie może nadto zbliżać się do wybrzeża.

Korzystając z rzadko nadarzającej się sposobności wiele osób podpłynęło małym parowcem ku olbrzymowi.

Miniaturowy nasz parowiec, lotny i zwinny, zbliżył się ku fregacie, łatwo więc nam było wysiąść na jej pokład.

Oficerowie załogi okrętowej z rzadką u nich uprzejmością oprowadzali nietylko damy lecz i mężczyzn nawet po kajutach, salach, korytarzach i zakątkach wodnego gmachu.

Wykrzykom podziwu, śmiechom i gwarom nie było końca, nagle... zbliża się katastrofa!

W chwili wędrówki naszej po fregacie wzmógł się przypływ morza, parowiec nasz lękając się by go wzburzone fale o ściany olbrzyma nie potrzaskały, oddalił się na znaczną odległość.

Tymczasem zdradziecki ocean burzy się coraz więcej, sroży, wre i kipi tak gwałtownie, że mały parowiec, łupinie orzecha podobny, o zbliżeniu się ku fregacie nawet już i zamarzyć nie śmie.

Nareszcie i ciemności zaległy horyzont, zerwała się burza, gromy, błyskawice u góry, huczące fale pod nami, płacz i jęki na pokładzie.

Tak przeszła nam noc cała, straszna, pamiętna! tak godzin wiele, wiele!...

Było ich trzydzieści i sześć!

Zdały nam się wiecznością.

Gościnność oficerów dla gości pomimo chęci nie opłaciła nam przebytego strachu; w kajutach płakałyśmy.

Łzy w podziękę za gościnność!

No, i towarzyszącym nam panom nie raźno jakoś było na duchu.

Nareszcie niebo i morze ulitowało się niedoli naszej.

Oh! nigdy dotąd tak piękną nie wydała mi się pogoda!

Powróciliśmy do Kołobrzega, poprzysięgając w duszy, że na przyszłość na pancerne fregaty tylko przez szkła patrzeć będziemy“.

*** *West-End* londyńska opowiada zabawną anegdotkę.

Sędzia. Co się stało z prosięciem, które ukradłeś wdowie Dickson?

Oskarżony. Zjadłem je.

Sędzia. I sumienie nie wyrzuca ci tego? Cóż powiesz na usprawiedliwienie twego grzechu na sądzie ostatecznym, kiedy staniesz razem z wdową Dickson przed trybunałem wielkiego Boga?

Oskarżony. Przepraszam pana sędziego czy prosię będzie tam także?

Sędzia. Będzie z pewnością.

Oskarżony. A więc powiem wdowie Dickson: Oto jest prosię odbierz go sobie pani.

CENA ŻYCIA.

Nowella.

We drzwiach salonu ukazał się Józef z wiadomością, że powóz pocztowy stoi gotowy; matka i siostra rzuciły się w moje objęcia.

— Jeszcze jest czas — mówiły mi — rozmyśl się i pozostań z nami.

— O! nie, moja matko! Jestem szlachcicem, mam lat dwadzieścia, muszę się dać poznać światu, muszę szukać karjery czy to w służbie wojskowej, czy przy dworze!

— A cóż ze mną się stanie, mój Bernardzie, skoro ty odjedziesz?

— Ty matko, będziesz szczęśliwą i dumną słysząc o świetnem powodzeniu swego syna.

— A jeśli zginiesz na wojnie?

— Mniejsza o to? Cóż warto życie? Ktoby tam myślał o takiej drobnostce! W dwudziestym roku życia i do tego będąc szlachcicem, myśli się tylko o sławie! I ujrzysz mnie, matko, powracającego za jakie kilka lat pułkownikiem albo jenerałem, lub też piastującego wysoki urząd w Wersalu!

— I cóż ci z tego przyjdzie?

— Co przyjdzie? będą mnie ludzie szanować i poważać.

— A potem?

— Wszyscy mi się kłaniać będą.

— A potem?

— Potem, ożenię się z kuzynką Henryką, powydaję siostry za mąż i wszyscy razem zamieszkiwać będziemy z tobą matko, spokojni i szczęśliwi w moim majątku.

— A któż ci zabrania zacząć od tego? Alboż ojciec nie zostawił ci najpiękniejszych dóbr na całą Bretanię? Czy na dwadzieścia mil w około znajdziesz wspanialsze dziedzictwo od zamku Roche-Bernard? Czyż nie szanują i nie kochają cię twoi wassale? Alboż możesz przejść kilka kroków, aby nie kłaniano ci się na wszystkie strony?... Nie porzucaj nas, mój synu; pozostań wśród przyjaciół, przy siostrach i przy starej matce, której za powrotem nie zastał byś już może; dla próżnej chwały nie spiesz się w kłopotach i trudach skracać najpiękniejsze lata młodości, które i bez tego zbyt szybko ubiegają· życie, mój synu, miłą jest rzeczą, a słońce Bretanii tak rozkosznie przyświeca!

Mówiąc te słowa wskazywała mi przez okno na piękne aleje mojego parku, na stare kasztany, pokryte kwiatem, lilie i powoje napawające powietrze balsamicznym zapachem. W przedpokoju zebrali się wszyscy domownicy nasi ze starym ogrodnikiem na czele, a smutne spojrzenia ich zdawały się mówić do mnie:

— Nie odjeżdżaj, nie odjeżdżaj, młody nasz panie!

Starsza siostra moja, Hortenzja, ściskała dłoń moją, a mała Amelcia, zajęta w kąciku przeglądaniem bajek La Fontaine'a z rycinami, przybiegła do mnie i ze łzami w oczach podsunęła mi książkę:

— Przeczytaj to, braciszku — zawołała — przeczytaj tylko uważnie!...

Była to bajka: „Dwa gołębie“.

Nie mogłem dłużej wytrzymać — odepchnąłem wszystkich:

— Mam lat dwadzieścia, jestem szlachcicem; pragnę sławy, zaszczytów.. pozwólcie mi jechać!

I wybiegłem na dziedziniec. Już wsiadałem do powozu, gdy na ganku zjawiła się postać kobieca... to Henryka! Nie płakała, nie przemowiła ani słowa, ale blada i drżąca, zaledwie utrzymać się mogła na nogach. Powiewem białej chustki przesłała mi pożegnanie i padła bez czucia na ziemię.

Jednym skokiem byłem już przy niej, podniosłem ją, przytuliłem do serca, przysiągłem miłość dozgonną, a gdy odzyskała przytomność, powierzywszy ją opiece matki i siostry, wróciłem do powozu, nie oglądając się po za siebie. Gdybym raz jeden spojrzał w Henrykę, nie miałbym już odwagi odjeżdżać: — Za kilka minut powóz toczył się gościńcem.

* * *

Przez długi czas myślałem jak jedynie o drogich istotach z któremi się rozstałem; ale gdy wieżyczki zamku Roche-Bernard znikły mi zupełnie z oczu, ambitne rojenia opanowały mój umysł. O czem ja nie marzyłem! czego nie dosięgłem w skromnym powozie pocztowym! Bogactwa, zaszczyty, godności, niczego sobie nie odmawiałem, a awansując w miarę przebytej drogi, byłem już księciem i parem, gubernatorem prowincji i marszałkiem Francji! Głos dopiero mojego służącego, mianującego mnie skromnie kawalerem, gdyśmy zatrzymali się na nocleg, obudził mnie ze słodkich marzeń i zmusił do abdykacji.

Nazajutrz i kilka następnych dni również przyjemnie mi upłynęły; daleką miałem podróż przed sobą, jechałem bowiem w okolice Sedanu do księcia de C., dawnego przyjaciela mojego ojca i protektora naszej rodziny. Miał on przedstawić mnie w Wersalu i wyjednać mi kompanię dragonów. Do Sedanu przyjechałem wieczorem, a nie mogąc o tak poźnej godzinie pokazać się u mojego protektora, stanąłem w najpierwszym hotelu „Pod herbem Francji“.

Przy table d'hote zastałem prawie samych oficerów, gdyż Sedan jest miastem obronnem; na zapytanie o drogę do zamku księcia de C. odpowiedziano, że każdy z łatwością mi je wskaże, zamek bowiem znany jest powszechnie, gdyż właśnie w tym zamku zmarł sławny człowiek, marszałek Fabert. Ztąd przyszło do rozmowy o marszałku. Opowiadano o bitwach jakie stoczył, o cudach waleczności, a zwłaszcza o skromności, jakiej dał dowód odmawiając przyjęcia szlachectwa i orderów ofiarowanych mu przez Ludwika XIV. Nadewszystko podziwiano niepojete szczęście jego, że z prostego żołnierza, zdołał dojść na najwyższy szczebel godności, i zostać marszałkiem Francji, będąc niczem z urodzenia, bo tylko synem drukarza. W owych czasach pierwszy to i jedyny był wypadek podobnego wyniesienia — i za życia jeszcze Faberta przypisywano nadzwyczajne to szczęście jego magji i siłom nadprzyrodzonym. Między innemi twierdzono, że Fabert zapisał swą duszę diabłu, a oberżysta, najzimniejszą krwią zapewniał nas, że w zamku księcia de C., gdzie umarł Fabert, widziano czarną jakąś postać, unoszącą zakupioną dawniej przez siebie duszę marszałka — i że teraz jeszcze, od czasu do czasu zjawia się ta postać w zamku unosząca maleńkie światełko.

Opowiadanie to rozweseliło całe towarzystwo i wypiliśmy parę butelek szampanu za zdrowie usłużnego diabełka, wzywając go aby i nam dopomógł wygrać kilka bitew, jakiemi wsławił się Fabert.

* * *

Nazajutrz wstałem wcześnie i udałem się do zamku księcia de C., pod wpływem ciekawości połączonej wyznać muszę ze wzruszeniem wywołanem wczorajszem opowiadaniem oberżysty.

Kamerdyner, do którego się zwróciłem, nie umiał mi powiedzieć, czy książę przyjmie mnie tak rano. Poszedł więc zameldować, zostawiając mnie samego w obszernej sali ozdobionej portretami familijnemi i myśliwskiemi trofeami.

Czekałem już dość długo, a nikt nie nadchodził; rozpoczęcie świetnej, o jakiej marzyłem, karjery, wyczekiwaniem w przedpokoju nie bardzo mi się podobało; zacząłem się niecierpliwić; przeliczyłem już po kilkakroć wszystkie belki na suficie, gdy nagle przypadek czy wiatr otworzył tuż przedemną ukryte drzwiczki w ścianie i dziwny widok przedstawił się mym oczom. W prześlicznym gabinecie, oświetlonym dwoma weneckiemi oknami i drzwiami oszklonemi prowadzącemi do wspaniałego parku, leżał na kanapie mężczyzna odwrócony twarzą do ściany. Nie spostrzegłszy go w pierwszej chwili stanąłem na progu gabinetu pragnąc bliżej przejrzyć się przepysznemu umeblowaniu, gdy mężczyzna ów, również nie widząc mnie, zerwał się z kanapy i pobiegł do okna. Łzy płynęły mu z oczu, twarz nacechowana była głęboką rozpaczą; na krótką chwilę ukrył głowę w dłoniach, a potem zaczął wielkiemi krokami przechadzać się po pokoju. Ujrzawszy mnie, zatrzymał się, a gdym ja zmieszany i zawstydzony moją niedelikatnością chciał cofnąć się, szepcząc kilka niewyraźnych słów przeprosin, schwycił mnie za rękę i zawołał silnym głosem:

— Kto pan jesteś?

— Jestem kawaler Bernard na Roche-Bernard; przybywam wprost z Bretanii....

— Wiem już, wiem, — przerwał, rzucił mi się na szyję, posadził mnie obok siebie i zaczął z wielkiem ożywieniem mówić o moim ojcu i całej mej rodzinie, którą znał doskonale; odrazu domyśliłem się, że to jest pan domu.

— Mam szczęście mówić z księciem de C. — rzekłem z należnem uszanowaniem.

On powstał, spojrzał na mnie i odpowiedział:

— Byłem dawniej, ale dziś już nie jestem nim; dziś jestem niczem — a widząc moje zdumienie, zawołał: — Nie przerywaj mi, młodzieńcze! ani jednego słowa więcej!...

— Owszem, mości książę; — mimowolnie stałem się świadkiem waszej boleści i smutku; jeśli więc przyjaźń moja i poświęcenie mogą przynieść jakąkolwiek ulgę......

— Masz słuszność, młody przyjacielu, a chociaż nie zdołasz zmienić wyroków przeznaczenia, wysłuchasz przynajmniej ostatniej mojej woli i spełnisz ostatnie me życzenia.... tej jednej tylko przysługi oczekuję od ciebie.

Poszedł zamknąć drzwi, potem zasiadł znowu przy mnie i zaczął mówić głosem poważnym i uroczystym:

— Urodziłem się w tym zamku. Miałem dwóch starszych braci, dla mnie więc pozostawała tylko sukienka duchowna, podczas gdy umysł mój przepełniony nienasyconą ambicją i żądzą chwały. Trapiony myślą że urodzenie skazywało mnie na życie ustronne, marzyłem tylko o nabyciu rozgłosu i sławy. W epoce owej stolica brzmiała imionami najpierwszych naszych gwiazd literackich — zapragnąłem im dorównać.... Powiernikiem moim był jeden z domowników naszych, stary murzyn Jago, niezawodnie najdawniej przebywający w zamku, nikt bowiem nie pamiętał, kiedy się po raz pierwszy pojawił, a lud okoliczny utrzymywał nawet, że Jago znał jeszcze marszałka Faberta i był obecny przy jego śmierci.

Mimowolnie wydałem okrzyk podziwienia, przyszło mi bowiem na myśl wczorajsze opowiadanie oberżysty; książę spojrzał się na mnie, i po chwili ciągnął dalej:

— Pewnego dnia utyskując w obecności Jagona nad moim nieszczęsnym losem, zawołałem: „chętnie bym oddał dziesięć lat życia, żeby tylko zostać pierwszorzędnym autorem!“

— Dziesięć lat życia, to za wiele za takie głupstwo— odrzekł zimno Jago — ale mniejsza o to, przyjmuję je. Pamiętaj pan tylko o swojem zobowiązaniu, tak jak ja o mojem nie zapomnę.

— Nie potrzebuję panu mówić, jak byłem zdziwiony temi słowy murzyna. Pomyślałem tylko, że wiek osłabił jego władze umysłowe, wzruszyłem ramionami śmiejąc się ze starego i w kilka dni później opuściłem zamek udając się do Paryża. Tam wszedłem w towarzystwo literatów, — a zachęcony ich przykładem napisałem wiele dzieł różnych, które z rąk sobie wyrywano. Nietylko w Paryżu, ale w kraju całym zasłynęło moje nazwisko....

— Nie jesteś pan więc księciem de C.? — przerwałem zdumiony.

— Nie! — była sucha odpowiedź — a ja napróżno łamałem sobie głowę, myśląc nad tem, kto to być może ten znakomity pisarz: Marmontel? d'Alembert? czy też Wolter?....

Nieznajomy westchnął, a blady uśmiech przemknął mu po twarzy.

— Zbyt prędko przecież nasyciłem się sławą literacką — mówił po chwili — ambicja moja pożądała innych laurów; chciałem zostać wielkim wodzem, znakomitym jenerałem. Zwierzyłem się z tem Jagonowi, który towarzyszył mi do Paryża, i powiedziałem, że oddałbym dziesięć lat życia, w ziamian za wielką sławę wojskową.

— Przyjmuję układ — odrzekł mi Jago — nie zapomnij, żeś mi sprzedał drugie dziesięć lat swego życia.

Podczas gdy to mówił z zapałem, chodząc po pokoju — ja znowu zapytywałem sam siebie: kto to jest? Richelieu czy Maurycy Saski?

— Murzyn dotrzymał słowa; a gdy nieco później, znużony i zniechęcony marną i czczą sławą zdobytą w zawodzie wojskowym, zażądałem za pięć lat życia tego, co ma rzeczywistą wartość na tej ziemi, to jest majątku, i to mi nie zostało odmówionem. Dobra ziemskie, zamek, lasy, złoto, sypały się na mnie jak z rogu obfitości. Dziś rano to wszystko jeszcze było w mojem posiadaniu.

Podszedł do zegara, spojrzał która godzina, zatrząsł się cały i rzekł do mnie cichym głosem:

— Przebudziwszy się dziś o wschodzie słońca czułem się tak osłabionym, że zaledwie zdołałem powstać z łóżka. Zadzwoniłem, a gdy ukazał się Jago, rzekłem mu z niepokojem, że jestem nie zdrów.

— Nic w tem nie ma dziwnego — odparł — zbliża się godzina.

— Jaka godzina?

— Nie domyślasz się pan? Niebo przeznaczyło ci sześćdziesiąt lat życia, a miałeś już trzydzieści, kiedym zaczął spełniać twoje rozkazy.

— Jago! — zawołałem — czy ty mówisz na serjo.

— Zupełnie na serjo, mój panie. W ciągu pięciu lat sławy, przyżyłeś pan dwadzieścia pięć lat swoich. Lata te doliczają się teraz do moich i dla tego siły opuszczają pana.

— Oszukujesz mnie!

— Bynajmniej; przelicz pan sam: dziesięć lat za sławę autorską, dziesięć za wojenną chwałę i pięć za używanie majątku, razem straconych lat dwadzieścia pięć, a dodawszy do tego trzydzieści pięć rzeczywiście przeżytych, będzie okrągłe sześćdziesiąt. Nic już panu nie pozostaje — zakończył i chciał odejść.

— Jago! Jago! wołałem — daruj mi jeszcze choć kilka godzin!

— Nie! nie! — odpowiedział.— Znam ja lepiej wartość życia i nie odstąpię ani jednej godziny.

— A więc dobrze, rzekłem z wysiłkiem — odbierz sobie te dobra, za które tak drogo zapłaciłem. Oddaję ci cały mój majątek za cztery godziny życia.

— Niech i tak będzie; byłeś dla mnie dobrym panem; muszę też coś uczynić dla pana.

Czułem że siły mi powracają — zawołałem więc znowu.

— Jagonie! cztery godziny, to tak mało! daj mi jeszcze cztery godziny, a wyrzeknę się sławy autorskiej która imię moje na cały świat głośnem uczyniła.

— Cztery godziny życia za taką nędzotę! to za wiele, ale mniejsza o to; nie odmówię ci tej ostatniej łaski.

— Nie ostatniej jeszcze, Jagonie! zaklinam cię! ustąp mi dzień cały, jeden dzień tylko, a za to niech wszystkie czyny moje wojenne, moje wygrane bitwy i kampanje zatrą się na wieki w ludzkiej pamięci. Jeden dzień tylko, Jagonie!

— Nadużywasz mojej dobroci — ale zresztą mniejsza i o to; daruję ci ten jeden dzień, pamiętaj tylko że wieczorem przyjdę już zabrać moją własność, bez żadnych wymówek.

— A rzuciwszy mi tę groźbę, oddalił się — kończył nieznajomy — i oto widzisz młodzieńcze, zbliża się kres mojego życia. Nic mi już, nic nie pozostaje, nawet odrobiny nadziei!.. wykrzyknął, i w największej rozpaczy wybiegł do ogrodu

* * *

Opowiadanie nieznajomego głębokie na mnie wywarło wrażenie; nie mogąc przyjść do siebie ze zdumienia, przecierałem sobie oczy, aby przekonać się, że to nie był sen, ani igraszka rozognionej wyobraźni.

W tej chwili kamerdyner otworzył drzwi od salonu, zapowiadając mi przybycie księcia de C.

Tuż zanim wszedł sześćdziesięcioletni mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy i podając mi rękę, przepraszał że tak długo dał mi na siebie czekać.

— Powracam właśnie ze Sedanu — dodał — gdzie zasięgałem rady lekarzy względem stanu zdrowia mego brata, hrabiego C.

— Zagraża więc hrabiemu niebezpieczeństwo utraty życia? — zawołałem przerażony.

— Dzięki Bogu, tak źle nie jest jeszcze — ale brat mój wskutek wygórowanej ambicji i niepohamowanej żądzy sławy, dostał obłąkania umysłu i wyobraża sobie że jeden już dzień po zostaje mu do życia.

Teraz zrozumiałem wszystko.

— Co zaś do ciebie, młodzieńcze, pomyślimy o twojej przyszłości. W końcu bieżącego miesiąca przedstawię cię w Wersalu.

— Przybywam właśnie podziękować za wszystkie względy waszej książęcej mości..

— Jakto! miałbyś się wyrzec świetnej karjery, jaka cię czeka przy dworze?

— Nie inaczej, mości książę.

— Ależ zastanów się, że przyszłość twoja zapewniona, a przy odrobinie szczęścia i mojem poparciu, możesz zostać za jakie dziesięc lat...

— Dziesięć lat życia straconych!.. — zawołałem.

— Alboż to tak wiele — rzekł zdziwiony książę — w ziamian za sławę, majątek, zaszczyty? No, no, młodzieńcze, pojedziemy do Paryża.

— Nie, mości książę, wracam do Bretanii, raz jeszcze składając najgorętsze dzięki za ofiarowaną mi łaskawie protekcję.

— Ależ to szaleństwo prawdziwe — zawołał książę

— To rozum właśnie — pomyślałem w duchu.

Nazajutrz byłem już w drodze. Z jakąż radością powitałem piękny mój zamek Roche-Bernard, stare drzewa mojego parku, moich wassali, rodzinę, i szczęście domowe, które utrwaliło się na zawsze, bo w tydzień później zaślubiłem ukochaną Henrykę

Eugeniusz Scribe.

Treść Nr. 51.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki